



CZERWIEC
LIPIEC

1989

**MIESIĘCZNIK POLITYCZNY
ORGANIZACJI
LIBERALNYCH DEMOKRATÓW**

Nr: 90-91

WARSZAWA

cena 300 zł

wydaje G.P. „N”

SZEWCI BEZ BUTÓW

LOGIKA WYBORÓW

WYPOWIEDZI MIESIĄCA

NOTATNIK ARKADYJSKI:

XXXV. BEZPRECEDENSOWE WYBORY

ODPOWIEDŹ NA PYTANIA "SUCZASNIŚCI"

ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI":

Z TARASEM KUZIO

POLACY NA UKRAINIE ("KULTURA")

MOSKWA MANIPULUJE MILLENIUM ("THE AMERICAN SPECTATOR")

LIST "SUCZASNIŚCI"

ODPOWIEDŹ "SUCZASNIŚCI"

Przyjmujemy za punkt wyjścia, że w cywilizowanych państwach pod koniec II wieku nie występuje instytucja "pojednania Narodu z Władzą" - a porozumienie dotyczyć może jedynie terminu przywrócenia pełni praw politycznych, wolnych wyborów oraz sposobu przekazania przez dyktatorów władzy legalnie wybranemu rządowi.

"NIEPODLEGŁOŚĆ" - OLD



Coż można sensownego powiedzieć dowódcy, który przygotowując swoje wojska do starcia pozostawia im karabiny, ale bez amunicji. Chyba tylko tyle, że przed walką, wraz ze swoim sztabem, powinien podać się do dymisji. Coż można

powiedzieć o organizacji, uchodzącej w oczach członków za związek zawodowy, która w przełomowym okresie swojej historii wyzbywa się swego największego atutu - prawa do strajku?

Można niewątpliwie debatować czy podejmowane w imię obrony poziomu życia zatrudnionych w gospodarce państwowej, strajki są najskuteczniejszą formą zapewnienia realnego wzrostu płac. Zapewne, a zgodni są z tym nawet strajkujący, lawinowy wzrost zarobków powoduje nie mniej lawinowy wzrost cen - i tych urzędowych i zwłaszcza tych umownych. Wywalczona strajkiem podwyżka płac zapewnia tylko przez bardzo krótki okres wzrost poczucia większej zamożności. Później, aby utrzymać wystrajkowany poziom życia, należy znów zastrajkować, i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej!

Strajki, na dłuższą metę, nie zapewnią więc godziwego poziomu życia. Zapewnić go może dopiero gospodarka rynkowa, w której nie będzie miejsca na naciski polityczne czy ideologiczne. Niestety, obecnie - zwłaszcza po ustaleniach "okrągłego stołu" - taki kierunek reform jawi się jako odległa utopia. Ani komunistyczne władze ani solidarnościowa ekipa Wałęsy nie kwapią się do prywatyzacji gospodarki. Ekonomiści spod znaku Bugaja jedyne panaceum na gospodarczą zapaść upatrują w skompromitowanych gdzie indziej - choćby w Jugosławii - samorządach.

Strajkować? Czy niestrajkować? - Nie jest to już dylemat "Solidarności" - bowiem zaakceptowany przez nowe kierownictwo związku Aneks do statutu NSZZ "Solidarność" czyni każdy strajk nielegalnym. Tymczasem nie wiadomo jak długo pomiędzy siłami które przy "okrągłym stole" podzieliły się odpowiedzialnością za losy Polski trwać będzie sielanka? I jak Związek odpowie na szykany czy prowokacje wymierzone czy to w jego ogólna czy też w poszczególnych członków? Potężnej bronii strajkowej sam się pozbawił, pozostaną więc jałowe protesty i oskarżenia władzy o złą wolę i łamanie ducha i litery "okrągłego stołu".

Coż zrobi Związek jeśli, pod parasolem solidarnościowego sejmu i senatu, władza ogłosi horrendalne podwyżki cen? I to w imieniu swoim i swego parlamentarnego partnera? Jaką bronią będzie wówczas dysponował? Komunistom pozostaną nadal milicja, wojsko, SB i ustanowione przez nich prawo. "Solidarność" stanie natomiast do rozgrywki, a może do walnej bitwy, rozbrojona - bez amunicji. Czy cena jaką zapłacił Związek za możliwość legalnego istnienia oraz za wprowadzenie swoich posłów do parlamentu nie jest za wysoka?

Władzy zależało na powstaniu posłusznej "Solidarności", ale czy "Solidarności" zależało na ubezwłasnowolnieniu związku. Już dzisiaj kierownictwo Związku gasi strajki. A co będzie później, zwłaszcza, że strajki ekonomiczne są chyba nieuniknione. Czy neo"Solidarność, wspólnie z władzą, wystąpi przeciw strajkującym?

Zostawmy paradoksy. "Solidarność" jest napewno jedynym na świecie związkiem zawodowym - oczywiście niezależnym - który sam sobie odebrał prawo do strajku. Przemilczanie tego faktu w solidarnościowej prasie i twierdzenie, że innego wyjścia nie było, niczego nie zmieni. Kwestia ta nie da się zaciemnić frazesami o współodpowiedzialności, najprawdopodobniej podzieli jeszcze bardziej i tak już podzielony Związek.

Wacław WOJENNY

LOGIKA WYBORÓW

Wybory do sejmu i senatu PRL są jednym z dziwniejszych spektakli politycznych w najnowszej historii Polski. Jest bowiem bez precedensu wydarzeniem, by komuniści, w dodatku długo już rządzący, zdecydowali się na konfrontację przy urnach wyborczych, gdzie co prawda nie ryzykują bezpośrednio utraty władzy, ale mogą zostać obnażeni, jako ugrupowanie nie mające żadnego społecznego zaplecza.

* UWAGA ! - trzy pierwsze rozdziały pisane były przed 4 czerwca, ostatni zaraz po pierwszej turze wyborów - "N".

Słowa te piszę na kilka dni przed głosowaniem, kiedy nie są jeszcze znane wyniki, ale znany jest już przebieg kampanii. Wskazuje on na to, że jedynym zwycięzcą w wyborach będzie Komitet Obywatelski "Solidarność". Jedynie ten blok był w stanie przeprowadzić skuteczną kampanię. Pokonana jest komuna, która praktycznie nie istnieje w wyborczej rywalizacji, a także te nieliczne ugrupowania opozycyjne, które zdecydowały się starcować wbrew Komitetowi. Jeśli wynik wyborów będzie inny, wynikać to będzie głównie ze skomplikowanej ordynacji i zdezorientowania wyborców, zwłaszcza na prowincji. Nie sędzę zresztą, żeby do tego doszło.

Od strony władzy

Warunkiem podstawowym przeprowadzenia wyborów, jaki stawiali czerwoni była ich niekonfrontacyjność. Z grubsza rzecz biorąc, chodziło o przyznanie z góry opozycji pewnej puli miejsc w sejmie i o zagwarantowanie sobie większości. W ten sposób ludzie władzy uniknęliby konfrontacji z opozycją a wynik wyborów byłby i tak z góry przesądzony. Inaczej miało być w wyborach do senatu - tu zgodzono się na pełną demokrację. Natomiast najważniejsze dla obecnej ekipy osoby miały sobie zagwarantować miękkie lądowanie w parlamencie poprzez listę krajową. Na pierwszy rzut oka wyglądało to wszystko dobrze (z punktu widzenia czerwonych) pomyślane. Po bliższym przyjrzeniu okazało się to jednak bardziej skomplikowane. Po pierwsze, na mandaty partyjne zgłaszać swych kandydatów mogli także obywatele (pod warunkiem zgromadzenia 3 tysięcy podpisów) i w wielu wypadkach to uczyniono. Władza nie zastosowała tu żadnego zabezpieczenia. Co prawda, w conajmniej jednym przypadku (innych nie znam) po prostu wrzucono z PZPRu potencjalnego niezależnego kandydata, lecz w wielu przypadkach startują ludzie niezwiązani z władzami. Teoretycznie możliwe jest nawet, że są to osoby lojalne wobec opozycji (tj. Komitetu Obywatelskiego), a nie struktur partyjnych. Jeszcze wyraźniej tendencja ta przejawia się wśród członków ugrupowań wobec PZPRu satelickich, w których dyscyplina zawsze była o wiele słabsza. Co więcej, znane są konkretne przykłady takich kandydatur, jawnie popieranym przez maszyny wyborcze Komitetu Obywatelskiego. Może więc się tak zdarzyć, że nawet większość posłów nie będzie lojalna wobec dotychczasowych struktur władzy. Nawet jeśli odrzucimy skrajną interpretację, utrzymującą, że w wyniku wyborów Komitet przemyci do obozu koalicyjnego swoich agentów (hipoteza ta jest o tyle mało prawdopodobna, że było zbyt mało czasu na takie zabiegi, strona opozycyjna też miała swoje problemy), to jest już dziś oczywiste, że wielu przyszłych posłów z ramienia partii rządzących nigdy nie otrzymałoby mandatu, gdyby procedura mianowania była oparta na zasadach dotychczasowych. Tak więc kształt przyszłego sejmu (nie mówiąc już o senacie) jest wielką niewiadomą i rzeczywiste podziały ujawniać się będą przy konkretnych głosowaniach. Procedura taka musi budzić zdumienie. Żadna normalna partia uczestnicząca w demokratycznych wyborach nie zgodziłaby się na to, aby lista posłów z jej ramienia miała być ustalana spontanicznie. W takim bowiem przypadku każda partia może być łatwo rozbita przez przyjęcie "koni trojańskich". W dodatku wszystkie trzy koalicyjne partie przeżywają głębokie kryzysy wewnętrzne i rozłamy. Jeżeli dojdzie do rozłamów jawnych może się okazać, że frakcja nie związana z partyjnym establishmentem będzie miała silną reprezentację w sejmie. Ostatecznym tego skutkiem może być nawet uzyskanie większości w sejmie przez ugrupowania niekomunistyczne. Jedynym zabezpieczeniem przed taką ewentualnością jest prawo rozwiązania sejmu przez prezydenta. Nie jest jednak wcale pewne, że prezydentem zostanie Jaruzelski. Większość może bowiem uzyskać blok niekomunistyczny - "Solidarność" plus dysydenci z partii koalicyjnych.

To, że rozważam taką ewentualność nie znaczy, że wierzę w jej realność. Chcę tylko pokazać to, że komuniści nie przewidzieli takiego rozwoju wydarzeń, a to z kolei świadczy o ich małej wyobraźni. Przenieśli oni bowiem do obecnej procedury wyborczej mechanicznie pewne elementy z dotychczasowych procedur. Demokracja w rozumieniu propagandy oficjalnej miałaby polegać na rywalizacji o s o b, a nie ugrupowań i programów. Tak więc o każdy mandat, zagwarantowany dla PZPR, ZSL, i SD konkurują ze sobą obligatoryjnie dwie i więcej osoby. Sytuacja taka jest tylko atrapą demokracji. Komuniści nie mogą się oczywiście zdecydować na rzeczywistą rywalizację między partiami (choćby ograniczoną) "konkurując" między sobą. Tym

jednak razem rezultatem, tego może być utrata kontroli nad "swoimi" posłami. Po pierwszy w swej historii partia zdecydowała się na demokratyczną procedurę wysuwania swoich przedstawicieli do instytucji mającej realną władzę. Mogła zastosować (podobnie jak to uczynił Komitet) procedurę prawyborów wewnątrzpartyjnych, w wyniku której wyeliminowanoby ludzi nie gwarantujących przestrzegania dyscypliny. Nie zrobiono jednak tego. Moim zdaniem jest to ewidentny błąd czerwonych, nie rozumiejących nowych reguł gry.

Kolejnym niedopatrzeniem władzy jest lista krajowa. Konstytucja przewiduje, że sejm ma liczyć 460 posłów. Lista krajowa jest jednak ustalona w taki sposób, że nie ma konkurencji o mandaty. Jeśli kandydaci na nią wpisani nie uzyskają wymaganej większości 50%, to nie zostaną wybrani i sejm będzie mniej liczny. Prawnicy nie są jednomyślni co do interpretacji tego przypadku. Oznaczać on bowiem może kryzys konstytucyjny - wybrany sejm będzie miał skład niezgodny z konstytucją, a więc będzie nieprawomocny, gdyż nie będzie liczył 460 posłów. Ta luka prawna wymownie świadczy o tym, że ordynacja nie była przemyślana do końca przez jej twórców. O ile w poprzednich wyborach nie było (praktycznie) niebezpieczeństwa niewybrania kogokolwiek z listy krajowej, gdyż większość wyborców wogóle nie skreślała, to w obecnych skreślenia są obligatoryjne. Wszyscy, zanim wrzucą kartki do urny, udadzą za kotarę. Jest więc zupełnie realne, że będą skreślać także ludzi wpisanych na listę krajową i że conajmniej część kandydatów nie uzyska wymaganych 50% (co jest zresztą wysokim progiem w normalnych warunkach). Władze miały nadzieję, że "Solidarność" poprze listę krajową i swą kampanią przyczyni się do jej popularyzacji. Nic takiego się jednak nie stało. Co prawda nie ma jednoznacznych instrukcji, by tę listę skreślać, ale nieoficjalnie się do tego nawołuje. Wezwał na przykład do tego Ernest Skalski w "GAZECIE WYBORCZEJ". Jest oczywiste, że polityk, który nie przjdzie w wyborach z listy krajowej ponieś dotkliwą porażkę, i to nie tylko prestiżową. Dlatego między innymi nie zdecydowano się wpisać na tę listę Jaruzelskiego. Gdyby jego nazwisko figurowało na liście krajowej wybory mogłyby się stać przy okazji plebiscytem - za lub przeciw polityce prowadzonej po 13 Grudnia.

Jest sprawą zdumiewającą, że mimo jawnej umowy przy "okrągłym stole" oraz poufnych uzgodnień w Magdalence władzy nie udało się uzyskać poparcia Komitetu Obywatelskiego w tej kwestii, a także w sprawie poparcia dla kandydatów partyjnych. Wygląda na to, że umowy były po prostu nieprecyzyjne. Potwierdza to moją tezę o tym, że czerwoni otwierając wyborczą "puszkę Pandory" nie przemyśleli do końca całej sprawy. Kolejne niebezpieczeństwo dla komuny stanowi perspektywa niewielkiej ilości głosów na kandydatów partyjnych. Co prawda ordynacja przewiduje, że wygrywa się zwykłą (w drugiej turze), a nie bezwzględną większością głosów, tak więc 65% mandatów koalicja sobie zapewni - oczywiście z uwzględnieniem poprawki, o której pisałem wcześniej, dotyczącej niepełnej kontroli przyszłych koalicyjnych posłów przez jakieś centrum władzy. Jednakże nie jest obojętne, czy na partyjnych kandydatów będzie głosowało 70% czy też 10% wyborców. Niewykluczone przecież, że na mandaty partyjne oddane zostanie kompromitująco mało głosów, a na mandaty bezpartyjne (zdobyte prawie wyłącznie przez kandydatów Komitetu) ogromna większość. W takiej sytuacji opozycja skupiona w Komitecie miałaby ogromną przewagę moralną nad partią, a władza obecnej ekipy zostałaby zakwestionowana. Niektórzy obserwatorzy przewidują nawet w takiej sytuacji wariant stanu wyjątkowego, jako jedyne logiczne wyjście, o ile oczywiście komuniści nie zechcieliby po prostu ustąpić i to raczej raz na zawsze z politycznej areny. Najwyraźniej władza nie liczyła się z takimi ewntualnościami opracowując ordynację i podpisując porozumienie z "Solidarnością". Liczyła zapewne na kampanię w stylu telewizyjnego show i ogólnego "kochajmy się". Tymczasem ostra kampania narzucona przez Komitet zmusiła drugą stronę do konfrontacji. Strona koalicyjna wypadła w niej fatalnie. Obciążeni balastem 45 lat niefortunnych rządów komunistów nie mogli (a właściwie nie odważyli się) wystąpić pod własną flagą. Dlatego też usiłowa-
ri nadać kampanii rys osobisty, lansując przróżnych, często interesujących zawodowo kandydatów, ale nie lansując partii. O ile Komitet słusznie podkreślał, że w tych wyborach liczy się program firmy a nie sylwetki kandydatów to PZPR wyraźnie wolała podkreślać inne cechy swych przedstawicieli, niż ich przynależność do partii komunistycznej. Jest to po pierwsze dla PZPR kompromitu-

jące i nie sędzę, by ta kompromitacja pozostała bez wpływu na wewnętrzną kondycję partii. Wyglądało na to, że PZPR jest niemal wogóle nieobecna podczas wyborów. Dopiero dokładniejsze przestudiowanie życiorysów niektórych kandydatów pozwalało "odkryć", że są oni komunistami (nawiasem mówiąc, Rakowski w wystąpieniu telewizyjnym zachnął się na zwrot "komuniści" - mówiąc: "jacy tam z nas komuniści"). Tak więc PZPR najwyraźniej dojrzała do głębokich zmian, być może ze zmianą szyldu i programu, niewykluczone, że nawet na niekomunistyczne. Tenże Rakowski w wywiadzie udzielonym Michnikowi (jeszcze rok temu brzmiałoby to całkiem surrealistycznie) mówił o utrzymaniu w Polsce władzy, ale nie przez komunistów lecz przez lewicę, być może zapraszając w ten sposób lewicę opozycyjną do udziału we władzy.

Kuriozum ordynacji jest nieumieszczenie na kartach wyborczych przy nazwiskach kandydatów przynależności partyjnej. Z uwagi na niską kulturę polityczną w Polsce i na stopień skomplikowania ordynacji PZPR liczy na uzyskanie wielu głosów przypadkowych, których by nie uzyskała gdyby przy kandydacie figurowała nazwa partii, do której należy. Fakt ten, na pozór marginesowy, odegrał istotną rolę w kampanii przyczyniając się do polaryzacji układu politycznego i wzmacniając siły Komitetu Obywatelskiego. Kwestię tę przeanalizuję później.

Kolejnym błędem popełnionym przez czerwonych były próby przechwycenia części mandatów dla bezpartyjnych. To, że próba taka zostanie podjęta było od początku jasne, zwłaszcza, że uzgodnienia przy "okrągłym stole" nie zakazywały tego. Na początku kampanii, w fazie prawyborów i zbierania podpisów dla kandydatów władze buńczucznie potwierdzały ten zamiar. Spektakularnym faktem stała się kandydatura Urbana w Śródmieściu Warszawy. OPZZ zapowiedziało także wystawienie swoich bezpartyjnych. Władze okazały się jednak za słabe na wygranie tej konfrontacji (jeszcze raz podkreślam, że piszę to przed wyborami, jedynie na podstawie obserwacji kampanii), a narzucając ją przyczyniły się do zaostrzenia polaryzacji, przyczyniły do wzmocnienia Komitetu. Znowu był to zapewne błąd w sztuce, gdyż zapewnienie z góry przez władze, że nie będzie brała udziału w walce o mandaty bezpartyjne pozwoliłoby bardziej zróżnicować opozycję. Odpowiedzią na zamiary Miodowicza i Urbana było bowiem "zwarcie szeregów" po stronie opozycji, co (jak wykażę) miało szkodliwy wpływ na układ polityczny w opozycji, a także doprowadziło do zaostrzenia konfrontacji. Jeszcze raz potwierdziła się zasada wzajemnego indukowania politycznych monopolii władzy i opozycji.

Odrębnym problemem jest kampania wyborcza do senatu. Jak wskazują badania opinii publicznej "Solidarność" ma szansę na zdobycie przynajmniej 80% miejsc. Władze wystawiły do tej kampanii swoje najlepsze kadry na przykład popularnego choć kontrowersyjnego ministra Wilczka, w Gdańsku wojewodę Kołodziejewskiego, w Skierkowie Leszka Millera... Jednocześnie wiele województw zostało najwyraźniej "odpuszczonych" przez władze, przy czym najbardziej charakterystycznym przykładem jest Warszawa, w której ani jeden z kandydatów koalicji nie ma szans na przekroczenie progu 10%.

, Od strony opozycji

Teoretycznie opozycja szła do wyborów gorzej przygotowana niż komuniści. To strona rządowa narzuciła tak obłądne tempo kampanii i tak wysokie wymagania programowe (3000 podpisów). Trzeba przy tym zauważyć, że obecna przecież przy "okrągłym stole" strona opozycyjna przeciwko temu nie protestowała. Liczyła bowiem jak się okazało słusznie na sukces właśnie w takim przypadku. Gdyby wybory odwlekły się do jesieni jest bardzo prawdopodobne, że opozycja ustrukturalizowała by się w inny sposób. W pierwszym etapie wszystkich paraliżował wymóg 3000 podpisów. Pojedyncze osoby, a nawet drobniejsze grupy nie były zdolne przekroczyć tego progu. Dotyczyło to między innymi KPN, której kilkudziesięciu kandydatów nie zebrało wymaganych podpisów, choć i tak KPN zdołała przez tę fazę przebić się z największą ilością niezależnych od Komitetu kandydatów. Było zbyt mało czasu, by mogły dojść do skutku próby skonstruowania bloków politycznych innych niż proponował Komitet. Możliwe były co najmniej dwa takie bloki. Pierwszy - to kandydaci ma

jęcy wyraźne poparcie Kościoła, załączek chadeko-endecji. Próby stworzenia takiej koalicji były i zostały zaniechane z powodu zbyt nikłego poparcia Kościoła oraz dezorientacji potencjalnych kandydatów co do swoich szans. Ogromna większość środowisk po prostu usiłowała dostać się na listę Komitetu gdy części się to nie udało było już za późno na tworzenie nowej koalicji. Drugim potencjalnym blokiem była centro-prawica złączona wspólnym programem gospodarczym. Blok taki nie powstał, część jego potencjalnych uczestników dostała się jednak na listę Komitetu.

Wzmocnieniu znaczenia Komitetu Obywatelskiego, jako jedynej skutecznej maszyny wyborczej, sprzyjała nieprecyzyjna ordynacja, o czym pisałem powyżej oraz próby przeforsowania w wyborach "bezpartyjnych bolszewików". Umożliwiło to Komitetowi rzucenie hasła, mówiącego o jednej drużynie. Stosowano przy tym fałszywą, ale sugestywną argumentację, dotyczącą arytmetyki wyborczej. O ile głosy kandydatów opozycyjnych nie byłyby rozbite na więcej niż dwa ugrupowania i walka wyborcza nie przebiegałaby nadmiernie ostro oraz zawartoby porozumienia wstępne co do przerzucenia w drugiej turze głosów na kandydata silniejszego, nie istniałoby zagrożenie niebezpieczeństwem wzajemnego wycięcia się zwolenników opozycji, na czym skorzystałby "bezpartyjny bolszewik". Tymczasem propaganda Komitetu Obywatelskiego cały czas głosiła, iż wystawienie kontrkandydatury przeciwko Komitetowi oznacza rozbitcie opozycji, jest więc czynem politycznie niemoralnym i niewłaściwym. Propaganda taka trafiła na podatny grunt na skutek komplikacji ordynacji. Ludzie z reguły byli niezorientowani w jej szczegółach, a hasło "w jedności siła" było zawsze ulubionym w polskiej historii (i to mimo, a może właśnie dlatego, że zwykle tej jedności nie było). Brak identyfikacji organizacyjnej przy nazwiskach kandydatów na kartkach wyborczych sprawił także że cały impet kampanii był skierowany na identyfikację kandydatów "Solidarności". Zwykle do każdego mandatu konkurowało 4 do 5 osób. Większość z nich była zgłoszona indywidualnie, przez samorządy mieszkańców, grupy związane z Kościołem, a także organizacje prorządowe. Ta masa kandydatów, którzy byli niemal zawsze zupełnie nieznanymi wyborcom, powodowała zamieszanie. Z tej magmy należało wyluskać kandydatów, których nazwiska mogłyby się utrwalić w pamięci wyborców. Każdy kandydat miał niemal identyczny, nic nikomu nie mówiący program, podobne "zasługi", a zwłaszcza dysponował bardzo skromnymi środkami na popularyzację swej osoby. Jedy- ną zatem siłą prowadzącą profesjonalną kampanię był Komitet. Jego kampania miała na celu nie tyle spopularyzowanie sylwetek kandydatów solidarnościowych, ile utrwalenie nazwisk osób mających legitymację Komitetu.

Ordynacja większościowa, a taka przy obecnych wyborach obowiązuje, wzmacnia jeszcze siłę organizacji dużych i eliminuje małe. Kandydaci niezależni w ordynacji większościowej nie mają niemal żadnych szans. Mogą liczyć na poparcie określonej świadomej klienteli, natomiast "milcząca większość", słabo zorientowana w szczegółach polityki zawsze popiera organizacje duże, nadające kandydatom identyfikację. Kandydat "X" musi przekonać ponad 50% wyborców (to jest klikaset tysięcy ludzi), że jest uczciwy, że jego program jest realny i słuszny, że będzie w stanie go zrealizować. Tymczasem kandydat "Y" musi jedynie utrwalić u większości wyborców informacje, że jest reprezentantem ORGANIZACJI, która ma duży autorytet. Ponieważ partie polityczne są jeszcze w stadium załączkowym, a wszystkie programy polityczne (łącznie z programem PZPR) brzmią niemal jednakowo i są jednakowo nie-realne i ogólnikowe było oczywiste, że wyborcy opowiedzą się za "Solidarnością". Komitet Obywatelski, być może prawem kaduka, przywłaszczył sobie szyld "Solidarności". Jest faktem, że nie odbyły się żadne wstępne wybory do władz Związku - nie było na to czasu, ale też osoby rządzące Komitetem i zasiadające do rozmów z Kiszczakiem bardzo chętnie zgodziły się na wybory szybkie. Podstawowym atutem Komitetu stał się Lech Wałęsa. Miał on niewątpliwie zawsze duży autorytet, a poza tym jest jedyną "instytucją" posiadającą legitymację demokratycznych wyborów do władz Związku. Autorytet Wałęsy był wyraźnie "wzmacniany" przez działaczy Komitetu. O ile w okresie przed grudniem 1981 roku Wałęsa był przywódcą, lecz nie dyktatorem, a w czasie wyborów w "Oliwi" uzyskał jedynie 55% głosów, o tyle teraz jest przez propagandę Komitetu traktowany jako osoba znajdująca się ponad układami politycznymi. Takie usytuowanie Wałęsy jest oczywiście nad wyraz wygodne dla ludzi Komitetu. Po pierwsze, Wałęsa nie wtrąca się do bieżącej polityki, tak że polityki kadrowej. Po drugie, każdego, nawet potencjalnego, przeciwnika ludzi

Komitetu można przedstawić jako przeciwnika Wałęsy. To Wałęsa osobiście nadawał kandydatom Komitetu "legitymacje". Wymownym tego świadectwem były polskie mury - płoty oklejone plakatami propagandowymi ze zdjęciami wszystkich kandydatów komitetowych z Lechem. Ci kandydaci opozycyjni, którzy nie występowali w barwach Komitetu nie mieli oczywiście takich plakatów, a propaganda Komitetu głosiła, że wobec powyższego nie mają oni legitymacji "Solidarności" a więc nie są nasi. Dotyczyło to między innymi ludzi tak jednoznacznie identyfikowanych z "Solidarnością" jak Switoń w Bytomiu. Potencjalny nacisk władz (jak wyżej pisałem pozorny) i nadużywanie hasła o jednej Drużynie dawało propagandzie Komitetu wygodną broń przeciwko kandydatom opozycyjnym nie startującym w barwach Komitetu. Większość energii w kampanii poświęcono nie na zwalczanie "bezpartyjnych bolszewików", ci bowiem i tak mieli małe szanse, ale ludzi z opozycji, występujących niezależnie. Wystarczy przewertować kilka numerów "GAZETY WYBORCZEJ", by znaleźć w każdym z nich atak na kandydata niezależnego. Taka zaciętość budzi pewne zdziwienie. Jak już pisałem argument arytmetyki wyborczej jest fałszywy i wyraźnie nadużywany. Większość kandydatów z listy Komitetu dostała się na nią dość przypadkowo. W gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia - z punktu widzenia interesu opozycji i "Solidarności" - czy w wyborach wygra mało znany kandydat Komitetu, czy z reguły bardziej znany opozycyjny kandydat niezależny. Tymczasem propaganda Komitetu broniła wszystkich swoich z niespotykaną zaciekłością. Szczególnym przypadkiem była tu kampania Kuronia na Żoliborzu, w którą Komitet zainwestował ogromne środki (największe w skali całej Polski). Chodziło przy tym nie o pokonanie "bezpartyjnego bolszewika", ale zdecydowanego, choć skonfliktowanego z Wałęsą, opozycjonisty - mecenasa Siłę-Nowickiego. Podobnie zresztą było w Lublinie, gdzie nieznaną zakładowy działacz "Solidarności", były członek PZPR Mańka, mający poparcie Komitetu zwalczał wszelkimi, także mało szlachetnymi środkami Ryszarda Bendera, który w rozmowach "okrągłego stołu" zasiadał w ekipie Wałęsy przy podstoliku politycznym. Podobnie miały się rzeczy w Garwolinie, gdzie mało znany działacz z Siedlec, były członek SD miał poparcie Komitetu przeciwko Marianowi Piłce - działaczowi opozycji z wieloletnim (jeszcze przedsierpniowym) stażem. "GAZETA WYBORCZA" zaatakowała brutalnie Piłkę, jednoznacznie popierając konkurenta. Tego typu postawa wskazuje na to, że osoby rządzące Komitetem nie zamierzają dzielić się swą opozycyjną władzą z nikim. Należy przy tym wspomnieć w kilku zdaniach o etapie prawyborów. Komitet Obywatelski postanowił, wbrew opiniom niektórych jego działaczy, przeprowadzić kampanię prawyborów w sposób "zdyscyplinowany". Komitet udzielał poparcia tylko jednemu kandydatowi na jedno miejsce. Było to spowodowane między innymi obawą przed rozstrzelaniem głosów. Obawa ta była, jak już pisałem, nieuzasadniona zwłaszcza, że komuniści nie byli w stanie zaproponować atrakcyjnych kandydatów własnych i dopuścili do rozstrzelania swoich głosów. Gdyby Komitet Obywatelski potraktował swoją misję, jako próbę koordynowania kandydatów opozycyjnych (po to, by nie było ich w jednym okręgu zbyt wiele, by kontrolować "czystość" kampanii, by udzielić wsparcia tym, którzy tego potrzebują) miałyby szansę pełnić rolę arbitra i rzeczywistego autorytetu dla całej opozycji. Komitet jednak wolał być tylko stroną w wyborach i to stroną brutalnie zwalczającą innych opozycjonistów. W trakcie prawyborów dokonywano centralnej weryfikacji kandydatów, w związku z czym wiele środowisk nie zostało dopuszczonych na listę Wałęsy. Zdecydowaną przewagę ma lewica. Wszyscy znani działacze korowscy znaleźli się na liście kandydatów. Jan Józef Lipski, jako jedyny szef partii opozycyjnej (PPS) znalazł uznanie o oczach Komitetu. Lewicowy przechył Komitetu zaniepokoił niektóre kręgi kościelne, które jednak nie potrafiły w żadnym stopniu temu zaradzić.

Wyraźnym nadużyciem Komitetu Obywatelskiego było posługiwanie się szyldem "Solidarności". Ponieważ "Solidarności" jest dopiero w fazie odtwarzania, a w wielu regionach doszło do rozłamów (Bydgoszcz, Łódź, Szczecin, Śląsk) posługiwanie się szyldem "Solidarności", i jednocześnie zabranianie tego innym działaczom było nieuczciwe. Na tym tle niezrozumiałą sprawą jest kandydowanie wielu działaczy ściśle związkowych, w tym uwikłanych w wewnętrzne tarcia (np. Dłużniewski z Łodzi), grozi to bowiem zdyskredytowaniem ewentualnych posłów przez elektorat związkowy. Za kilka miesięcy dojdzie jednak chyba do kampanii wyborczej w "Solidarności".

Jeżeli jest prawdopodobne, że część związkowych posłów nie otrzyma wotum zaufania w trakcie tej kampanii. Spowoduje to zapewne kolejne rozłamy.

Na koniec wypada powiedzieć także o funduszach. Sprawa funduszy wyborczych jest kolejnym nieporozumieniem w trakcie kampanii, wynikającym z braku wstępnych uzgodnień między władzami a stroną solidarnościową-opozycyjną przy "okrągłym stole". Każda kampania wyborcza wymaga pieniędzy i we wszystkich demokratycznych krajach sprawa finansowania kampanii jest regulowana prawnie. Kontrola tej sfery ma za zadanie uniknięcie przypadków finansowania kandydatów przez obce mocarstwa, wielki kapitał (który finansowanie kampanii traktuje jako swoistą łapówkę dla polityków) oraz wzmocnienie tych grup politycznych, które nie dysponują pieniędzmi ale mają rzeczywiste poparcie społeczne. Zwykle więc wystawienie kandydatów wiąże się z koniecznością wpłacenia kaucji, a z drugiej strony partie korzystają z kredytów, których zwrot uzależniony jest od liczby uzyskanych w wyborach głosów. Niemal wszędzie istnieje zakaz przyjmowania funduszy nieksięgowanych oraz przyjmowania z jednego źródła sum większych niż określone w przepisach. Większość finansowo-politycznych afer w krajach zachodnich, o których tak głośno w peerelowskich środowiskach przekazu dotyczy pogwałcenia przez niektórych zachodnich polityków tych właśnie przepisów. Ordynacja wyborcza w PRL zupełnie pominęła aspekt finansowy. Na skutek tego małe grupy (choć potencjalnie cieszące się poparciem społecznym) borykały się z ogromnymi trudnościami ze sfinansowaniem własnej kampanii, natomiast wielkie sumy, dzięki pomocy z Zachodu, znalazły się w gestii Komitetu Obywatelskiego. W dodatku Komitet został przez komunistów uznany za jedyną reprezentację opozycji i w związku z tym obdarowany koncesjami na gazetę wielkonakładową oraz wiele tygodników regionalnych a także dostępem do radia i telewizji, czego oczywiście nie mogli oczekiwać kandydaci opozycji pozakomitetowej.

Finansowanie z Zachodu kampanii Komitetu wywołało wiele nieporozumień, wynikają one przede wszystkim z faktu, że żyjemy w okresie przejściowym, w którym prawem zwłaszcza dotyczące funkcjonowania życia publicznego przestało odgrywać jakąkolwiek rolę, przytłoczone przez politykę. Ministrowie i szefowie bezpieczeństwa spotykali się w ostatnim roku z przedstawicielami nielegalnych organizacji. Ewidentne naruszenia prawa nie były ścigane przez prokuraturę, itp. Na tym tle, nielegalne również, z punktu widzenia litery prawa, transfery dewiz nie wydają się niczym nadzwyczajnym. Oczywiście, w miarę cywilizowania się stosunków w Polsce także ta sfera będzie musiała poddać się regulacji prawnej.

Od strony Kościoła

Wielkim przegrany obecnej kampanii jest Kościół. Odgrywał on przez cały okres PRL nadmierną rolę polityczną, przyjmując na siebie z konieczności funkcję reprezentanta interesów narodu wobec władzy. W ostatnich latach wdał się jeszcze w bezpośrednią politykę, z jednej strony udzielając wsparcia strukturom "Solidarności", z drugiej zaś podejmując grę z czerwonym. I jedna i druga strona potrzebowała Kościoła i stąd powstało wrażenie wyjątkowej jego roli politycznej. Kościół przez setki lat potrafił prowadzić politykę bardzo elastyczną i to raczej on traktował innych instrumentalnie, niż był jako instrument wykorzystywany. Jednak po śmierci kardynała Wyszyńskiego nie tylko zabrakło w polskim Kościele męża stanu na miarę epoki, ale też zabrakło autorytetu (oczywiście poza Papieżem, który z racji swoich obowiązków nie może prowadzić polityki wewnątrzpolskiej), potrafiącego narzucić spójną wizję polityczną. Biskupi, zafascynowani tłumami przychodzącymi na imprezy patriotyczno-religijne nie zdawali sobie sprawy z kruchości swoich wpływów. Obecnie, gdy czerwoni zezwolili na tworzenie niezależnych instytucji ludzie poprzednio obecni w Kościele, gdyż tam znajdowali schronienie dla swojej działalności, po prostu od niego odeszli. Tworzące się centrum opozycyjne - Komitet Obywatelski - zdominowane zostało przez ludzi lewicy laickiej. Ksiądz Prymas wyrażał w tej sprawie swoje niezadowolenie przez długi czas wstrzymując się z przyjęciem delegacji Komitetu, ale przed samymi wyborami uległ i delegację taką przyjął. Sprawa kluczowa dla Kościoła jest ostatecznie kwestia ochrony życia dzieci nienarodzonych. Jednoznaczne poparcie dla ustawy o ochronie życia (mimo wielu jej braków) to dla Kościoła probierz wiarygodności polityków opozycyjnych. Ksiądz Prymas mówił o tym pod

koniec kwietnia grupie działaczy opozycyjnych, akcentujących swoje związki z Kościołem. Dla Komitetu Obywatelskiego sprawa ta była kukułczym jajem. Po pierwsze, wielu z działaczy Komitetu (i to tych odgrywających rolę decydującą) było zawsze dalekich od zasad etyki katolickiej, jednoznaczne poparcie dla zasad ochrony życia dzieci nienarodzonych, nie wchodziło dla nich w grę, nawet dla celów taktycznych. Katwo przecież mogli się narazić na zarzut koniunkturalnej zmiany swoich poglądów zaś w zaprzyjaźnionych kołach zachodniej lewicy wyglądałoby na zdrayców wspólnej lewicowo-laickiej sprawy. Kwestia ochrony życia dzieci nienarodzonych, a zwłaszcza nieudanej ustawy dzieli polskie społeczeństwo na dwie, mniej więcej równe części. Opowiadając się jednoznacznie za lub przeciw ustawie kandydaci Komitetu narażaliby się na utratę dużej części elektoratu. Dlatego w interesie Komitetu leżało jak najgłębsze pogrzebanie tej kwestii. Udało się wymóc to na Kościele, co jest jednoznacznym zwycięstwem Komitetu i jednoznaczną klęską - nie tylko polityczną, także moralną - Kościoła. Dla celów politycznych poszedł on bo wiem na kompromis sprzeczny z głoszonymi zasadami. Ksiądz Prymas, przyjmując na początku maja działaczy Komitetu zgodził się na stwierdzenie, że ochrona życia dzieci nienarodzonych nie powinna odgrywać roli w kampanii wyborczej. Stwierdzenie to pojawiło się natychmiast w "GAZECIE WYBORCZEJ" na pierwszej stronie. Nie przeszkodziło to zresztą "GAZECIE" ostro atakować kandydatów, szczególnie akcentujących swój katolicyzm, a także próby (nieliczne) biskupów i proboszczów wpływania na przebieg kampanii nie po linii Komitetu.

Jednoznacznego i bezwarunkowego wsparcia Komitetowi udzieliło zresztą wielu biskupów i księży. Prawdopodobnie pod ich wpływem ksiądz Prymas zgodził się zmienić swój stosunek do Komitetu. Duża część szeregowych księży, cechująca się "sentymentalnym antykomunizmem" popierała bez zastrzeżeń niekatolickich kandydatów Komitetu, nawet przeciwko działaczom niezależnym, akcentującym przywiązanie do Kościoła. Jest to dowód utraty instynktu samozachowawczego Kościoła i otwiera drogę do szybkiej laicyzacji społeczeństwa polskiego.

CO DALEJ ?

Rezultaty pierwszej tury wyborów wskazują na przytłaczające zwycięstwo Komitetu. Nie jest to żadnym zaskoczeniem, jako że wskazywał na to przebieg kampanii. Zaskoczeniem jest natomiast niska frekwencja wyborcza, niższa niż przed czterema laty. "Znawca" nastrojów społecznych Stefan Bratkowski na kilka dni przed wyborami gotów był zakładać (patrz "GAZETA WYBORCZA"), że frekwencja wyniesie 85%. Tak więc te tylko 62% a raczej aż 38% jest dużym zaskoczeniem, którego nie przewidywały zresztą badania COBOSu. Można by powiedzieć, iż jest to łyżka dziegciu w beczce miodu, gdyby sprawa nie była znacznie poważniejsza. Mniej więcej taka sama liczba potencjalnych wyborców jak ta która głosowała na Komitet powstrzymała się od udziału w wyborach, sygnalizując w ten sposób swoją nieufność dla obu głównych aktorów spektaklu granego 4 czerwca. Prawdopodobnie grupy, które nawoływały do bojkotu wyborów (PPN, LDP "N", SW, PPS-RD, "niepokorna" "Solidarność") uznają ten wynik za swój sukces. Prawdopodobnie tak jest w istocie, lecz byłoby nieporozumieniem traktować te prawie 40% elektoratu jako potencjalną bazę radykałów. Sądzę, że znaczną część tej liczby stanowią zdeorientowani, a także ci, którzy nie ufają ani komunistom, ani "Solidarności". Są wreszcie i tacy, którzy chętnie widzieliby "trzecią" (a także "czwartą" czy "piątą") siłę na polskiej arenie politycznej. Na pewno do tej grupy odwołają się komuniści, starając się przeciwstawić ją triumfującej "Solidarności". Triumf tej ostatniej jest więc zaopatrzony poważnym znakiem zapytania w postaci owych 38%. Szefowie Związku muszą także liczyć się z tą liczbą podczas kampanii wyborczej w samej "Solidarności".

Triumf Komitetu stawia polityków nim manipulujących w kłopotliwej sytuacji. Komuniści doznali kompromitującej porażki. Przepadła lista krajowa, otwierając w ten sposób swego rodzaju kryzys konstytucyjny. Na skutek tego powstała niemal równowaga między stroną dotychczas rządzącą a Komitetem w Zgromadzeniu Narodowym. Przy odrobinie chęci Komitet jest zdolny wystawić własnego kandydata na prezydenta z realnymi szansami na zdobycie tego szczególnie ważnego stanowiska. Otwarta jest droga do konstytucyjnego zamachu stanu, przejęcia władzy i zmiany systemu

Polisce. Tylko czy jest to fizycznie realne? To jest kluczowe pytanie, które narzuca się po wyborach. Komuniści uzyskali tak mało głosów, a w dodatku skompromirowali w wyborach całą swoją elitę (składając nastawioną reformatorską). Są potężni i niezdolni do przeforsowania radykalnych ustaw bez zgody Komitetu. Można zaryzykować twierdzenie, że w ogóle nie są zdolni do rządów bez współpracy Komitetu. Tylko czy ten ostatni będzie miał odwagę przejąć przynajmniej część władzy, która mu się należy już nie z nadania komunistów, lecz z wyborczej arytmetyki? Każde posunięcie jest tu ryzykowne. Jeżeli posłowie Komitetu, dysponując w Zgromadzeniu Narodowym (to jest w sejmie - senacie) większością, nie zablokują wysuniętej przez komunistów kandydatury na prezydenta (przy czym nie jest już wcale pewne, czy na taką posadę będzie aspirował Jaruzelski) to skompromitują się w oczach swoich wyborców i potencjalnego zaplecza. Jeśli natomiast niedopuszczą do kandydatury komunisty to narażają się na konfrontację, w której nie mandaty poselskie będą amunicją. Sytuacja jest więc taka, że komuniści nie mogą już dłużej rządzić bez poparcia opozycji, ale opozycja nie jest, jak sądzę, gotowa wziąć na siebie części odpowiedzialności za rządy. Możliwy w związku z tym pat parlamentarny może sparaliżować najbliższy rząd. Wyjście z tego patu jest oczywiście możliwe, ale to już sprawa dalszej przyszłości.

Innym problemem, przed którym stanie Komitet, jest jego wewnętrzna spójność. Jest on zlepkiem różnych środowisk, w tym przede wszystkim przeważają działacze "Solidarności" ze szczebla zakładowego oraz doradcy, naogół bliscy lewicy laickiej. Są jednak także działacze nie mieszczący się w tej formule, czasami zdecydowanie różniący się od głównego nurtu Komitetu. Z całą pewnością decydenci w Komitecie będą starali się utrzymać dyscyplinę de facto przekształcając Komitet w partię polityczną. Od tego, na ile im się to uda, zależy przyszły układ sił w opozycji. Nie można bowiem zapominać o tych środowiskach i osobistościach politycznych, które nie weszły do sejmu i senatu, a które są zdolne przekształcić się w znaczący ruch polityczny. Ich przegrana w wyborach nie wynika z ich własnej słabości, lecz z raczkowania demokracji, z manipulacji wyborczych Komitetu, z posłużenia się - bezzasadnie - etykietą "Solidarności". Teraz, po zwycięstwie Komitetu, podziały istniejące lecz ukrywane za wspólnymi fotografiami z Wałęsą ujawnią się. I to właśnie może okazać się największym wyzwaniem dla polityków kierujących Komitetem Obywatelskim "Solidarność".

Janusz NOWICKI

WYPOWIEDZI MIEŚIĄCA :

- Zbysław RYKOWSKI (rzecznik prasowy rządu): "Są dobre prognozy wyborcze dla naszej strony. Te wszystkie podawane przez naszych konkurentów wyniki badań to są wyniki życzeń. Zapewniam, że będzie znacznie dla "Solidarności" gorzej niż wykazują wyniki tych badań". *
- Jerzy URBAN (minister, szef telewizji): "Uważam, że nie jest realne aby, lista krajowa w wyborach przepadła. Nie ma takiego niebezpieczeństwa...". *

No coments.

REDAKTOR DYZURNY NUMERU

* "TYGODNIK Powszechny" nr 24(2085) z 11.VI. 1989 r., str.1, "Obraz tygodnia"

NOTATNIK ARKADYJSKI :

XXXV. BEZPRECEDENSOWE WYBORY

W Arkadii odbyły się wybory. Niekonfrontacyjne - jak przystało na Arkadię i bezprecedensowe - niczego podobnego świat nie widział. Startująca w nich opozycja nie była opozycją, nie dążyła bowiem do władzy. Strona rządowa nie była w nich stroną - nie zabiegała bowiem o zwycięstwo. Ordynacja nie była ordynacją - zmierzano ją bowiem w trakcie wyborów zgodnie a interesem obu stron. Akt wyborczy nie był żadnym wyborem - skoro wygrałby w nim miejsce senatora, sam zaś Wałęsa niewątpliwie przepędziłby gdyby startował jako kandydat niezależny. Czekamy teraz na polityczny pluralizm.

Arkady AQUEDUKT

* mianowany przez niego konsulem i powołany do senatu.

- Kiedy "NIEPODLEGŁOŚĆ" zaczęła się ukazywać i jakie były jej cele?

- "NIEPODLEGŁOŚĆ" zaczęła ukazywać się w styczniu 1982r. Pierwszy numer w maszynopisie, wszystkie następne na powielaczu. Cele, które "NIEPODLEGŁOŚĆ" sobie stawiała przez pierwsze dwa lata /a więc do czasu wykrystalizowania jej liberalno-demokratycznego charakteru/ określiłbym następująco:

1. "Wybicie się na niepodległość",
2. Obalenie systemu komunistycznego w Polsce,
3. Zabezpieczenie odzyskanej niepodległości we Wspólnocie Państw Europy Środkowej.

Cele powyższe próbowaliśmy realizować poprzez:

1. Przecistawianie powszechnemu w tych latach modelowi oporu społecznego, sprządzającemu się do działań symbolicznych, radykalnej antykomunistycznej alternatywy,

2. Walkę ze skomunizowaniem świadomości Polaków praktycznie akceptujących wówczas socjalizm - patrz głośny artykuł "Wypaczenia tak! Socjalizm nie!" /"N" nr 10, październik 1982r./,

3. Zintegrowanie polskiej opozycji antykomunistycznej w powszechnym i reprezentatywnym porozumieniu w dążeniu do umiędzynarodowienia, przy pomocy Kraju i Emigracji, sprawy polskiej,

4. Dążenie do porozumienia z innymi zniewolonymi narodami Europy Środkowej w walce o niepodległość z perspektywą zinstytucjonalizowania go w środkowo-europejskiej wspólnoty.

- Dlaczego publikacje takie jak "NIEPODLEGŁOŚĆ" pojawiły się dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego?

- Nurt, który w pierwszych latach po wprowadzeniu stanu wojennego najdobitniej wyrażała "NIEPODLEGŁOŚĆ" nie pojawił się dopiero po 13 Grudnia 1981r. Istniał w polskiej opozycji już wcześniej. Ujawnił się choćby w sporze KOR - ROPCiO o kwestię niepodległości, w serii demonstracji ulicznych w Warszawie, Gdańsku, Lublinie w latach 1979-80 /do sierpnia/ czy wreszcie w powołaniu podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów "S" Klubów Służby Niepodległości. Tym niemniej, przed 13 Grudnia nurt niepodległościowy unikał wyraźnego zakwestionowania prawomocności reżymu komunistycznego w Polsce. Uczestniczył bowiem w swoistej grze /pozorów/ z "czerwoną" polegającej na braniu, przy -najmniej werbalnie, za dobrą monetę komunistycznej konstytucji i komunistycznego prawa. Stąd kamuflowanie się tego nurtu polskiej opozycji w formule obrońców praw człowieka. Po prostu przed 13 Grudnia polska opozycja miała dużo do zyskania, ale i coś /choćby odzyskiwaną dopiero podmiotowość społeczeństwa/ do stracenia. Natomiast po 13 Grudnia do stracenia mieliśmy już tylko złudzenia.

-- "NIEPODLEGŁOŚĆ" miała od początku swojego istnienia reputację "radykalnej prawicy". Co takie określenie oznacza dla ciebie? Dlaczego byliście /nadal jesteście/ tak krytyczni wobec "solidarnościowo-korowskiego establishmentu"?

- W pierwszym okresie swego istnienia "NIEPODLEGŁOŚĆ" była raczej - moim zdaniem - radykalnie niepodległościowa i radykalnie antykomunistyczna a nie radykalnie prawicowa, choć stopniowo w tym kierunku ewoluowała, by ostatecznie określić się jako ugrupowanie liberalno-konserwatywne.

"Radykalna prawica" dla mnie to, w wymiarze ideowym przywiązanie do wolności oraz do tradycyjnych wartości cywilizacji łacińskiej takich jak odpowiedzialność, solidność, poczucie honoru, rodzina, religia... z jednej strony oraz antykomunizm i antynacjonalizm z drugiej; w wymiarze taktycznym odrzucenie porozumienia z komunizmem i z peerelowskimi władzami.

Nasz krytycyzm wobec "solidarnościowo-korowskiego establishmentu" wynikał z odrzucenia forsowanych przez ten nurt propozycji ideowych - populizm, i taktycznych - wymuszenie na władzy porozumienia narodowego oraz z uzurpowania sobie przez ten nurt prawa do przemawiania w imieniu, jeśli nie całego społeczeństwa polskiego, to przynajmniej w imieniu opozycji. Ponieważ zaś "solidarność-

ciowo-korowski establishment" niczego się w tych materiałach przez ostatnie 10 lat nie nauczył, stąd nasz krytycyzm trwa.

- Jaka była ewolucja stanowiska "NIEPODLEGŁOSCI" wobec kwestii ukraińskiej? Czym się ono różni od stanowiska innych grup wobec Ukraińców?

- Podstawowe stanowisko "NIEPODLEGŁOSCI" w kwestii ukraińskiej, a właściwie szerzej, w kwestii naszych wschodnich pobratymców - Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, formułowaliśmy w naszej publicystyce w cyklu artykułów w latach 1982-83. Wymienię tu takie jak: "Czy sama Polska może być niepodległa" /nr 8/9, 1982/, "Wolność, Demokracja, Niepodległość" /nr 11/12, 1982/, "Rozwiązanie kwestii radzieckiej" /nr 13/14, 1983/, "Polacy wobec kwestii wschodniej" /nr 18/19 i 20, 1983/. Oficjalnie określiliśmy je w naszych "Założeniach Programowych" /nr 28 z IV.1984/ uważając, iż niepodległe państwo polskie powinno "zawrzeć umowy z niepodległymi państwami: Ukrainą, Białorusią i Litwą zrzekając się na ich rzecz byłych polskich ziem wschodnich, wzajemnie gwarantując pełne prawa mniejszościowe".

Stanowisko to nie uległo później żadnej większej ewolucji. Powtórzyliśmy je w "Oświadczeniu Wspólnym do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów" razem z "WSN"-em, "Wyzwoleniem", GP"Wola", Wydawnictwem "InCorpore", w zamieszczonej w wielu numerach naszej nowszej publicystyce, a w szczególności w numerze "Unijnym" /nr 47/48, 1984/ oraz w sierpniowym z br. /nr 80/.

W tym ostatnim zamieściliśmy artykuł "Uwagi o dialogu ze wschodnimi sąsiadami", doprecyzowujący nasze poglądy. Podtrzymując nasze stanowisko sprowadzające się do zaakceptowania "obecnych linii granicznych" i wyrzekając się "pretensji terytorialnych" względem sąsiadów, zwracamy w nim uwagę na problemy szczegółowe - zwłaszcza na kwestię mniejszości. "Wydaje się nam słusznym - piszemy w tym artykule - by ze stosunku zarówno do praw mniejszości narodowych jak i do ich realizacji, w szczególności z uznania podmiotowości tych mniejszości, uczynić problem wiarygodności partnerów dialogu".

W kwestii ukraińskiej istnieje w polskiej opinii, czy szerzej, w polskich środowiskach niezależnych, znaczne zróżnicowanie. Skrótowo, jest to bowiem temat na obszerny artykuł, w polskiej opinii istnieją ugrupowania:

1. uważające kwestię ukraińską za nieistniejącą lub za wewnętrzną sprawę Związku Sowieckiego /neoendecy/,
2. postulujące bierność wobec niej - "Sił nam ledwo starcza na przetrwanie", "GŁOS" /2/43, 1983/,
3. proponujące wobec kwestii wschodniej politykę aktywną - antysowieckiego sojuszu wszystkich zniewolonych narodów "Naszej" Europy, różniące się natomiast między sobą w dwóch kwestiach: granic i mniejszości.

W kwestii granic wyróżnić się dają trzy możliwe stanowiska:

- legalistyczne /prawie obowiązuje granica ryska, o ewentualnej zmianie granic zdecydować mogą dopiero upoważnione do tego organy - Parlament/,
- realistyczne /uznanie ich obecnego kształtu/ oraz
- rewizjonistyczne /odzyskanie ziem wschodnich/.

Podobne zróżnicowanie istnieje w sprawie mniejszości. Traktowana przez jednych jako kluczowa, jest tylko jednym z elementów - istotnym ale nie wyłącznym - kwestii wschodniej, dla drugich, by nie wzbudzać żadnego zainteresowania u trzecich.

Jeśli chodzi o nasze ugrupowanie, to jak wynika z powyższego, opowiadamy się za utrzymaniem obecnych linii granicznych, stosunek do mniejszości traktując jako problem intencji obu stron.

- Choć opinia polska poświęciła dużo miejsca problemowi ukraińskiemu od czasu wprowadzenia stanu wojennego, to prawie wcale nie pisano na temat okresu międzywojennego, poprzedzającego walki lat 40-tych. Dlaczego tak jest?

- Sądzę, że z kilku co najmniej powodów:

1. Brak jest łatwo dostępnych, a wiarygodnych dla Polaków, źródeł do tych wydarzeń - wiarygodnych w tym sensie, że wszystkie enuncjacje oficjalne budzą zrozumiałą nieufność.

2. Część Polaków pogrążona jest w swoistym samozadowoleniu, polegającym na przekonaniu, że to Polacy byli zawsze obiektem prześladowań, sami zaś nikogo nie krzywdzili, wszystkie sygnały, że bywało i inaczej traktuje więc jako komunistyczną lub antypolską propagandę.

3. Niezbyt czyste sumienie w tej kwestii i niechęć do przyjęcia odpowiedzialności za politykę represji skłania także do przemilczania tej kwestii.

Jeśli chodzi o "NIEPODLEGŁOŚĆ", to kwestiom tym, podobnie jak sprawie eksterminacji ludności polskiej w czasie walk w latach czterdziestych, poświęcamy niewiele miejsca, choć wspominamy o nich w naszej publicystyce historycznej, głównie dlatego, że wypowiedzieć się tu powinni przede wszystkim wiarygodni historycy. Nasze pismo nie jest magazynem historycznym, stąd do kwestii tych nawiązujemy tylko przy okazji rozważań nad obecnym stanem i przeszłością stosunków polsko-ukraińskich. Tym niemniej, polskie środowisko niezależne, choć niekiedy może zbyt nieśmiało, poczuwają się do odpowiedzialności za dyskryminowanie mniejszości. Publikacje takie pojawiają się zarówno w podziemiu - choćby znana praca Podlaskiego, jak i w obiegu oficjalnym - publicystyka i książki Jerzego Tomaszewskiego.

- Jaki jest stosunek "NIEPODLEGŁOŚCI" do legalistycznego stanowiska Rządu na Uchodźctwie co do granic wschodnich? Czy uważacie, że obecna granica wschodnia powinna pozostać niezmieniona?

- Skoro Rząd RP na Uchodźctwie funkcjonuje w oparciu o zasady legalizmu, to jego stanowisko w kwestii granicy wschodniej jest logiczne. Granica ryska została zaakceptowana przez swobodnie wybranych w demokratycznych wyborach przedstawicieli narodu polskiego i nikt obecnie nie ma mandatu, by w imieniu Polaków o przyszłości ziem wschodnich rozstrzygać. Koncepcja samostanowienia mieszkańców tych ziem, sformułowana w kręgach legalistycznych /np. w publicystyce "SAMOSTANOWIENIA"/ daje się całkiem nieźle bronić, choćby poprzez odwołanie się do praw człowieka.

"NIEPODLEGŁOŚĆ" rozumie więc powody, skłaniające ugrupowania legalistyczne do odmowy uznania obecnych linii za granicę między Polską a Białorusią, Ukrainą i Litwą. Tym niemniej, nasze podejście do tej kwestii jest inne. Postulujemy, aby obecna polska granica wschodnia uległa w przyszłości zmianie. Dążymy do tego, by zmieniła się jej funkcja. Pragniemy, by z kordonu dzielącego związane ze sobą historią, choć głęboko skonfliktowane, narody zmieniła się w linię o charakterze nie tylko administracyjnym. Linię, bez zbędnych utrudnień przenikalną dla ludzi, dla kontaktów, dla idei. Natomiast "uważamy, że bezwzględnie i bezwarunkowo musimy uznać obecne granice za nienaruszalne /.../, a tym samym zrzec się praw do Wilna i Lwowa, pod warunkiem, że: a/ będą one należały do niepodległych państw Litwy i Ukrainy, a nie do jakiejś federacji rosyjskiej, b/ mniejszość polska zamieszkała na tych terenach uzyska wszystkie prawa obywatelskie /gospodarcze, polityczne, kulturalne, narodowe i religijne/, co ze swej strony gwarantujemy wszystkim mniejszościom zamieszkałym i mogącym się jeszcze osiedlić w Polsce" /"N" nr 11/12, "Wolność, Demokracja, Niepodległość"/.

Fakt, że uczynić to oficjalnie powinna i może dopiero przyszła niepodległa Rzeczpospolita Polska suwerenną decyzją swoich reprezentantów, nie oznacza jednak dla nas, iż niezależne ugrupowania polityczne w kwestii tej nie mogą się ani wypowiadać, ani, tym bardziej, swoich koncepcji forsować. Byle czyniły to we własnym imieniu.

My sami do naszej koncepcji wielokrotnie powracaliśmy, powracamy i powracać będziemy. Naszym zdaniem, obecne linie graniczne powinny zmienić swój charakter - ale nie przebieg.

- Jaka jest twoja opinia na temat UPA i konfliktu polsko-ukraińskiego w latach czterdziestych. Czy w jakiś sposób konflikt ten wpływa na poglądy Polaków obecnie?

- Tak, konflikt ten wpływa na obecny stosunek Polaków do Ukraińców w sposób istotny. Jest to podstawowa przyczyna polskich wobec Ukraińców resentymentów. Bez żenady, wręcz cynicznie, eksploatowany jest on przez zagrożonych polsko-ukraińskim porozumieniem sowieckich i peerelowskich komunistów. Zwłaszcza,

że eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu czy w Bieszczadach dokonywana przez UPA nie da się w żaden sposób usprawiedliwić. W szczególności nie usprawiedliwiają jej ani osadnictwo ludności polskiej na Wołyniu w okresie międzywojennym, ani polskie pacyfikacje. Nie był to zresztą ślepy i nierozumny odwet prześladowanych, ale metodycznie realizowana terrorystyczna polityka oczyszczania ^{terrenów} etnicznie mieszanych z ludności polskiej. Jej wynikiem była polska samoobrona i odwet, czasami też zbrodniczy... Korzyści zaś odnieśli Sowieci.

Patrząc na te wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, moja opinia na temat UPA może być wyłącznie negatywna, mimo że Armia ta walczyła o niepodległość Ukrainy. Stosowała jednak zbrodnicze środki... Co nie znaczy, że usprawiedliwiam wszystkie akcje polskie, czy to AK czy LWP. Rzecz w tym jednak, że o ile w polskiej prasie niezależnej, a ostatnio nawet oficjalnej, pisze się od czasu do czasu o polskich zbrodniach i je potępia, powszechnie też dystansuje się np. od takiej Akcji Wisła, przyznając, że była wobec ludności ukraińskiej w Polsce niesprawiedliwa, o tyle nie spotkałem się z potępieniem przez Ukraińców ewidentnych zbrodni UPA. Pisaliśmy o tym choćby w recenzji z polskiego numeru "SUCZASNI" /nr 78/79, 1986/.

Reasumując: Walki polsko-ukraińskie w latach czterdziestych są najbardziej kontrowersyjną kwestią w naszych wzajemnych stosunkach. Ideałem byłoby, gdyby polska i ukraińska emigracja zdobyła się na powołanie wspólnej, złożonej z poważnych i wiarygodnych historyków komisji, która ustosunkowałaby się do wzajemnych zarzutów. Niestety, obecnie nie wydaje się to jeszcze możliwe. Można jednak odciąć się od zbrodni i niesprawiedliwości poprzez ich potępienie.

- Czy "NIEPODLEGŁOSC" krytykuje źle traktowanie przez polskie władze komunistyczne mniejszości ukraińskiej w Polsce?

- Zdaniem "NIEPODLEGŁOSCI" "niepodległe państwo polskie nie istnieje" /"Założenia Programowe"/, zarządzający zaś peeralem komunistów nie są władzami polskimi. "NIEPODLEGŁOSC" krytykuje nie tyle władze ile system komunistyczny, opresyjny wobec wszystkich mieszkańców Polski, nie tylko mniejszości ukraińskiej. "NIEPODLEGŁOSC" stara się natomiast zwalczyć antyukraińskie resentymenty, nakazujące widzieć Polakowi w każdym Ukraińcu "rezuna" z zakrwawionym nożem za pazuchą. Ma też nadzieję, że jej działalność w jakimś stopniu przyczyni się do wygaszania w opinii ukraińskiej stereotypu "chytrego i czyhającego na okazję Lecha". Cele te stara się osiągnąć także i poprzez informowanie polskich czytelników o sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce.

Nie dzieje się to często, nie dysponujemy bowiem oryginalnymi na ten temat materiałami. Warto jednak przypomnieć przedrukowany przez nas w numerze "Unijnym" za paryskim "KONTAKTEM" /nr 33. 1985/ bardzo krytyczny i pesymistyczny w konkluzji artykuł Tarasa Kuzio "Między młotem a kowadłem". Sądzę wreszcie, że za pośrednią, ale zdecydowaną krytykę stosunku do mniejszości ukraińskiej w Polsce trzeba uznać formułowany wielokrotnie i przy różnych okazjach postulat wzajemnego zagwarantowania praw mniejszości na obszarze Europy Środkowej.

- W jaki sposób Ukraińcy w Polsce powinni włączyć się w działalność opozycyjną? Co mogą na tym zyskać?

- W taki jaki uznają za stosowne, a dla siebie za niezbędne. Tym niemniej, włączenie się Ukraińców w działalność niezależną uważalibyśmy za niezwykle korzystne dla wygaszenia wzajemnych resentymentów. Przy czym istotne jest, by nie ograniczali się do zabiegów o partykularne interesy na polu społeczno-kulturalnym lecz włączyli się także w nurt demokratyczno-niepodległościowy. Istnienie niepodległej i demokratycznej Polski leży w interesie jej wszystkich obywateli, także nie czujących się Polakami. Tylko w niepodległej i demokratycznej Polsce zapewnione mogą zostać mniejszościom prawa do nieskrępowanego rozwoju narodowego, społecznego, kulturalnego, politycznego i religijnego.

Ważne jest przy tym, by Ukraińcy występowali otwarcie jako Ukraińcy, co oczywiście nie oznacza konieczności ujawniania nazwisk i by nie zamykali się we własnym gettocie lecz współpracowali z polskimi ugrupowaniami bądź działali wewnątrz nich. Niestety nie ma wielu przykładów takiej działalności. Ostatnim byłby, przedrukowany także przez nas, apel ukraińskich osobistości do uczestników

obrad "okrągłego stołu" /nr 83/84, 1988/.

- Czy "NIEPODLEGŁOŚĆ" wierzy w Gorbaczowa i pieriestrojkę?

- I tak i nie.

Nie - ponieważ "NIEPODLEGŁOŚĆ" nie wierzy w możliwość modernizacji sowieckiego Imperium oraz w zmianę jego charakteru z zagrażającego światu Imperium Zła w normalne /nawet opresyjne/ mocarstwo.

Tak - ponieważ uważamy, że Gorbaczow reformami swoimi osłabi Imperium, co doprowadzi do ujawnienia się jego wewnętrznych sprzeczności, które jeśli nie rozsada Związku Sowieckiego, to go radykalnie osłabią - to zaś byłaby historyczna szansa dla Europy Środkowej do "wybiccia się na niepodległość".

- Jak widzisz przyszłość polsko-ukraińskiej współpracy?

- Odpowiedź na to pytanie wymagałaby, zwłaszcza gdybym miał moje sądy uzasadnić, napisania obszernego artykułu, co - być może - wkrótce nastąpi. Tu jednak odpowiem skrótowo.

Wychodząc z założenia, że żadne Imperium nie trwa wiecznie, że ani Polska ani Ukraina nie zrezygnują ze swoich aspiracji, a także przyjmując, że lekcja historii udzielona Polakom i Ukraińcom w dwudziestym wieku, czegoś te narody nauczyła oraz biorąc pod uwagę fakt stopniowego wygaszania /przynajmniej po stronie polskiej, a mam nadzieję, że i po ukraińskiej/ wzajemnych resentymentów przyszłość stosunków polsko-ukraińskich widzę, mimo nieuniknionych konfliktów, sporów i kontrowersji - optymistycznie.

Niepodległa, demokratyczna, kapitalistyczna i współpracująca ze sobą w ramach wspólnoty Europa Środkowa, a w niej, jeśli poróżnione czymś, to odchodzącą w przeszłość historią, Polska i Ukraina - to moja wizja. Wizja fantatyczna, ale przecież konieczna... a więc realna.

jesień 1988
autoryzacja stycznia 1989

W imieniu "NIEPODLEGŁOŚCI"
Artur WIECZYŃSKI

ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI"

III. Z UKRAIŃSKIM NIEPODLEGŁOŚCIOWYM DZIAŁACIEM EMIGACYJNYM TARASEM KUZIO

- Interesujesz się nami od dawna. Skąd wzięło się to Twoje zainteresowanie?

- Sprawami polskimi interesowałem się od lat. Należy zacząć od tego, że ponieważ jestem katolikiem, uczęszczałem do szkoły katolickiej /była to szkoła podstawowa/. Chodziło ze mną wtedy do tej szkoły bardzo wielu Polaków, z którymi dyskutowałem i często prowadziłem spory dotyczące naszych wschodnich granic. I oni i ja przynosiliśmy do szkoły mapy tych terenów, przeglądaliśmy te mapy, dyskutowaliśmy nad nimi. Wyznaczaliśmy na nich przyszłe granice Polski i Ukrainy - i tak dalej. Należy pamiętać o tym, iż pokolenie młodych Ukraińców takich jak ja, zostało wychowane przez rodziców, którzy opuścili Europę, tzn. wyemigrowali do Anglii po II wojnie światowej. Najczęściej ci rodzice wyemigrowali z terenów Galicji, dlatego też dobrze pamiętają polskie prześladowania Ukraińców w okresie międzywojennym. W ten sposób każdy z tych młodych Ukraińców został, by tak rzec, wychowany w duchu antypolskim. Wszystko to przyczyniło się do mojego zainteresowania tymi terenami oraz wszystkim, co się łączy ze współżyciem Polaków i Ukraińców. W czasach uniwersyteckich zacząłem dużo czytać na ten temat, co pogłębiło moją wiedzę.

Kolejnym punktem zwrotnym było wyniesienie studentów z Uniwersytetu Poznańskiego i Uniwersytetu Sussex w 1970-r. Właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu spotkałem bardzo wielu młodych Polaków, pochodzących z Polski; dyskutowałem z nimi, spędzałem dużo czasu na rozmowach. Te rozmowy i dyskusje, w ogóle ów kontakt z Polakami, jeszcze bardziej pogłębiły moje zainteresowanie i rozszerzyły je.

Następnym punktem zwrotnym było powstanie "Solidarności" w PRL i działalność "Solidarności" w latach 1980-81. "Solidarność" była ruchem, który rozpalili wyobraźnię wielu młodych ludzi na Zachodzie, także wielu młodych Ukraińców. To pobudziło wśród nas, Ukraińców, zainteresowanie tymimi sprawami, zienami, rozpalilo nam wyobraźnię. Zaczęliśmy z utęsknieniem oczekiwać takiego samego biegu wydarzeń w naszym kraju. Stan wojenny okazał się dla nas wielkim szokiem, ale nawet wtedy

nie zakończyło się nasze zainteresowanie sprawami, o których tutaj mówię. Niewątpliwie wpłynął na to fakt, iż Polska po stanie wojennym ciągle była obecna w zachodnich środkach masowego przekazu, w telewizji, w prasie. Napływało też wiele materiałów o działalności podziemia w Polsce. Ponieważ nieco tych materiałów z Polski dotyczyło również Ukrainy, toteż, jak już mówiłem, nie słabło nasze zainteresowanie tematyką polsko-ukraińską.

Jeżeli chodzi o zainteresowanie ugrupowaniami niepodległościowymi, jest ono dla nas czymś naturalnym. Przynajmniej jeśli chodzi o większość, może nie wszystkich Ukraińców, ale dla większości z nas jest to uczucie naturalne. Nasze problemy na emigracji, problemy Ukraińców, nie są takie same jak problemy grup opozycyjnych w Polsce. Są one raczej odmienne. W Polsce istnieje podział na "niepodległościowców" i "ugodowców", albo - jak mówią niektórzy Polacy - na "marzycieli" i "realistów". Takiego podziału u nas nie ma. Chodzi mi o emigrację ukraińską. Ująłbym to może tak: że być może wszyscy Ukraińcy na emigracji to marzyciele, albowiem wszystkie grupy na emigracji ukraińskiej, poczynając od skrajnej prawicy, na skrajnej lewicy kończąc - są /zachowując cudzość/ "niepodległościowcami". Nie istnieje żadna grupa wśród emigracji ukraińskiej na Zachodzie, która żądałaby mniej, aniżeli niepodległej Ukrainy. Tak, każda z tych grup domaga się niepodległej Ukrainy. Z tego więc punktu widzenia wszyscy jesteśmy "niepodległościowcami". Dotyczy to także lewicowych grup ukraińskich na Zachodzie. Nic zatem dziwnego, że darzymy sympatią te grupy w Polsce, które również zajmują podobne pozycje. Nie możemy więc darzyć sympatią takie grupy, które domagają się "finlandyzacji" Polski, ponieważ sfinlandyzowana Polska na nic nie przydałaby się Ukrainie. Na jej powstaniu nic byśmy nie skorzystali. A niepodległa Polska, jak sądzimy, będzie pierwszym krokiem na drodze, prowadzącej do powstania niepodległej Ukrainy. Oczywiście możliwa jest także sytuacja odwrotna...

- Czy istnieje wśród emigracji ukraińskiej i opozycji na Ukrainie nurt propolski lub czy istnieją szanse na jego pojawienie się?

- Zaczę tu od spraw dotyczących emigracji. Zagadnienie istnienia prądu propolskiego, albo, by ująć to inaczej, zagadnienie istnienia wśród naszej ukraińskiej emigracji grup pragnących współpracy z polskimi grupami dysydenckimi, działającymi w PRL, albo z polskimi ugrupowaniami emigracyjnymi na Zachodzie, jest kwestią dotyczącą wszystkich znanych odłamów emigracji ukraińskiej. Każde emigracyjne ugrupowanie ukraińskie na swój sposób współpracuje z jakąś polską grupą dysydencką na wychoźctwie czy też w kraju. Dotyczy to nawet ugrupowań ukraińskich, skrajnych, bardzo lewicowych, choć są one nieliczne liczebnie, ale także współpracują z jakimiś małymi polskimi grupami - działającymi oczywiście w naszym kraju. Z kolei, powiedzmy, centrum demokratyczne, czyli ośrodek demokratyczny, którym to mianem możemy nazwać wszystkie inne grupy ukraińskie /wyjąwszy oczywiście banderowców/ współpracuje z podobnymi organizacjami polskimi, działającymi na Zachodzie, a także z Polakami w kraju. Nawet banderowcy, choć są najbardziej nacjonalistycznymi, a nawet najbardziej - by tak rzec - ekskluzywną grupą ukraińską, działającą na Zachodzie, nawet oni współpracują - z KPN na forum takich organizacji jak "Antybolszewicki Blok Narodów" i "Liga Antykomunistyczna".

Większości emigracyjnych grup ukraińskich - wyjąwszy Ukraiński Rząd na Uchoźctwie, działający od 1919r. - otóż większości tych grup trudno przychodzi współpraca z Polskim Rządem Emigracyjnym. Większość ukraińskich ugrupowań demokratycznych w Wielkiej Brytanii współpracuje z Polskim Rządem Emigracyjnym w ramach organizacji, która po angielsku nazywa się "European Liason Group". To ugrupowanie jest demokratyczną wersją "Antybolszewickiego Bloku Narodów". Nie posiada ono jednak żadnego międzynarodowego oparcia, działa wyłącznie na terenie Wielkiej Brytanii. Jednak ogólnie rzecz biorąc, Ukraińcy mają kłopoty ze współpracą z Polskim Rządem Emigracyjnym ze względu na zajmowane przez nich stanowisko legalistyczne. To stanowisko dotyczy wschodnich terenów Polski, z tego właśnie powodu są trudności między Ukraińcami a Rządem RP. Jeśli jednak stosunek jakichkolwiek polskich grup opozycyjnych działających czy to na emigracji czy w PRL, do zagadnień narodowościowych i granicznych jest pozytywny, wtedy nie ma żadnych problemów ze współpracą ugrupowań ukraińskich z tymi ugrupowaniami.

Jeśli chodzi o Europę Wschodnią czy też o Europę Środkową /to co nazywamy tu, na Zachodzie, Europą Środkową, oznaczając tzw. "demokracje ludowe"/ zagadnienie to bardzo rzadko, jeśli w ogóle, figuruje w zestawach spraw poruszanych przez ukraińskie publikacje dysydenckie. Rozpatrują one stosunki i problemy - by tak rzec - na tle sowieckim, patrząc na nie przez pryzmat sowiecki. To się oczywiście zmieni, ale na razie Sowietom udało się zaistalować dwie żelazne kurtyny - jedną odzieliła wschód od Zachodu, a druga takie kraje jak Polska od Sowietów. Między tymi krajami istnieje bardzo niewiele kontaktów, dopiero w ostatnim czasie, w związku z liberalizacją, te kontakty zostały nawiązane. Ale np. mniejszość ukraińska w Polsce utrzymuje bardzo niewielkie związki, praktycznie żadne, z Ukrainą. Dopiero ostatnimi czasy nawiązują się tam jakieś trwałsze kontakty.

Jeśli weźmiemy pod uwagę prawa mniejszości narodowych zamieszkujących Ukrainę, to nasza emigracja uważa, że powinny być przestrzegane, co dotyczy na przykład Tatarów Krymskich. Ukraińscy dysydenci stoją na stanowisku, iż powinna powstać niezależna Republika Tatarów Krymskich. Chodzi mi oczywiście o autonomiczną republikę na Krymie. Są również żądania równych praw dla innych mniejszości narodowych zamieszkujących Ukrainę, w tym także dla Polaków. O tej mniejszości polskiej słyszy się jednak bardzo niewiele, co - jak sądzę - wkrótce się zmieni. Musi się to zmienić z powodu zmian zachodzących w Związku Sowieckim. Zmiany te będą oznaczały coraz to większą swobodę poruszania się, większą swobodę podróżowania dla obywateli sowieckich i w rezultacie muszą przynieść przełamanie izolacji, istniejącej między Polską a Związkiem Sowieckim. Zapewne przyniosą one także zniesienie izolacji między Polską a Ukrainą. Zmiany te powinny również spowodować poszerzenie i nasilenie kontaktów, zniesienie izolacji między aktywnymi grupami desydenckimi na Ukrainie oraz grupami opozycyjnymi działającymi od wielu lat w Polsce. Ukraińcy będą mogli wiele się nauczyć od Polaków, od grup opozycyjnych w Polsce - do czego zresztą od wielu lat namawiani.

- Jak oceniasz obecną sytuację w Europie Środkowej? Jak oceniasz możliwości jej rozwoju?

- Bardzo trudno ocenić sytuację w Europie Środkowej, przedstawić pełny obraz rozgrywających się tam zdarzeń. A to dlatego, że rozwój wypadków zarówno w Związku Radzieckim jak i w Europie Środkowej następuje niesłychanie szybko. Wydaje mi się, że istnieje obecnie, w pewnym sensie, sytuacja paradoksalna, ponieważ o wiele więcej ważnych zmian zachodzi w tej chwili raczej w Związku Sowieckim aniżeli w Europie Środkowej. Przemiany te zachodzą zarówno w życiu oficjalnym i nieoficjalnym. Wydaje mi się, że Gorbaczow specjalnie powierzył prowadzenie spraw w Europie Środkowej swoim - by tak rzec - twardegłowym namiestnikom. Uczynił to rozmyślnie, po to, by nie dochodziło tam do jakichś niepokojów /przykładem tego są choćby rządy Szerbickiego na Ukrainie/. On sam skupia uwagę na problemach, które ma u siebie. Właśnie dlatego w Europie Środkowej stoją u władzy ci ludzie, którzy zajmowali tę samą pozycję już bardzo dawno, w epoce Breżniewa. Nie są to, broń Boże, jacyś liberalni reformatorzy. Nie zaliczam też do nich takich ludzi, jak Jaruzelski, czy tym bardziej Rakowski.

Uważam, iż w Europie Środkowej bardzo wiele zależy od tego, co obecnie następuje i co w przyszłości nastąpi w Związku Sowieckim. Sądzę, że uświadomili to sobie, że umieli to sobie uświadomić Polacy, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego - żadne zmiany w Europie Środkowej nie nastąpią bez uprzednich zmian w ZSR. Jeśli chodzi o Ukrainę, to ważnym czynnikiem, który będzie miał tutaj wpływ / a nastąpi to, jak sądzę, najdalej za rok/ jest usunięcie Szerbickiego z Ukrainy i dopuszczenie na tym terenie pieriestrojki, w stylu republik bałtyckich, czy w stylu armeńskim. Wystąpią tutaj dwa czynniki, które odegrają bardzo ważną rolę, chodzi mi o pieriestrojkę i głośność. Dopiero wtedy zobaczymy, jak wiele wyjdzie na jaw problemów, o których jeszcze na Ukrainie się nie mówi, albo o których jeszcze nie wolno mówić. Szczerze mówiąc, to nie wyobrażam sobie, co się stanie, gdy pieriestrojka /w stylu republik bałtyckich/ ogarnie Ukrainę. Nie potrafię na przykład przewidzieć, czy 50 mln ludzi wyjdzie na ulice. Na losy Ukrainy, to znaczy na losy Europy Wschodniej, /co można przeczytać między wierszami nawet w sowieckich oficjalnych publikacjach/ - otóż na owe losy ma wielki wpływ to, iż wojska rosyjskie mogą z Ukrainy kontrolować Europę Wschodnią. Może to być ich punkt wypadowy. Nie należy też zapominać, iż wejście wojsk radzieckich do Czechosłowacji w 1968 r. i na Węgry w 1956 r. także ma związek z losami Ukrainy. Ukraina nie jest "w kursie" tego rozwoju, który następuje w ZSRS dzięki pieriestrojce i głośności; jeśli bieg wypadków nie zmieni się, to na Ukrainie może dojść do powtórzenia się sytuacji w Polsce, a sytuacja w Polsce wygląda w tej chwili, tak jakby to państwo stało na krawędzi przepaści.

Niezadowolenie panujące w Polsce osiągnęło takie rozmiary, że Sowietom bardzo trudno kontrolować panujące tam nastroje. Uważam zresztą, iż dla Polaków i dla innych narodowości zamieszkujących Europę Środkową, nastąpiła obecnie najlepsza sposobność do przejawienia nastrojów buntowniczych, rewolucyjnych. Zwłaszcza, iż w obecnej chwili jest wysoce nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe, by Sowietci wysłali czołgi np. do Polski, ale gdyby je wysłali, oznaczałoby to koniec głośności, pieriestrojki, Gorbaczowa oraz dobrych stosunków ZSRS - Zachód. Obecna sytuacja stwarza niezwykle szansę dla Polski i dla innych krajów, leżących w Europie Środkowej - chodzi o większy radykalizm i doraganie się wielkim głosem swoich praw. Obecnie jest to łatwiejsze niż dawniej, kiedy to usiłując czegoś dokonać, trzeba było przewidywać i kalkulować reakcje "Wielkiego Brata". Uważam, że zarówno w Europie Środkowej jak i w zachodnich republikach Związku Radzieckiego, jesteśmy o krok od dokonania czegoś wielkiego. Nie mogę w tej chwili jeszcze sprecyzować, co wchodzi w grę, ale z drugiej strony wszystko do się dzieje jest nieprzewidywalne - czy pół roku temu, albo rok temu, ktoś mógłby przewidzieć to, co obecnie trwa w republikach bałtyckich a nawet na Białorusi, gdzie, o czym dowiedzieliśmy się parę dni temu, 4000 Białorusinów w Mińsku walczyło przez 3 godziny z policją?!

- Bardzo niewiele wiemy o tym, co się dzieje na Ukrainie. Czy istnieje szansa na pojawienie się tam zorganizowanej opozycji?

- Będąc w Polsce widziałem istnienie dwóch żelaznych kurtyn, o których już wspominałem - jedna z nich oddziela Związek Radziecki od Europy Środkowej w dziedzinie np. kontaktów kulturalnych. I odwrotnie - Europę Środkową od Związku Radzieckiego też oddziela żelazna kurtyna. A co się dzieje na Ukrainie? To samo, co na pozostałych zachodnich terenach Związku Radzieckiego. To, iż Polacy wiedzą o tym tak niewiele, można złożyć na karb kilku czynników. Pierwszy z nich - rozgłosnie zachodnie bardzo niewiele informują Polaków o tym, co się dzieje na Ukrainie. Oczywiście chodzi mi o rozgłosnie polskojęzyczne, choć najprawdopodobniej one dysponują dokładnymi wiadomościami o tym, co się dzieje na Ukrainie. Drugim czynnikiem jest fakt, iż polscy desydenci w kraju nie zabiegają szczególnie o informacje dotyczące Ukrainy. A przecież takie informacje można uzyskać, tylko trzeba zadać sobie trochę trudu. A Polacy takiego trudu sobie nie zadają. /.../

Ukraina, podobnie jak inne jednonarodowe republiki radzieckie, w ciągu ostatnich 3 lat - można powiedzieć nawet inaczej: za rządów Gorbaczowa - doświadczyła rozwoju narodowego. Jak sam Gorbaczow powiedział ostatnio, problem narodowościowy jest największym problemem ZSRS, z który należy dziś się uporać, który trzeba rozwiązać. Z drugiej jednak strony, Szczerbicki pozostaje u władzy na Ukrainie dlatego, że został tam "zainstalowany" i nawet obecnie władze sowieckie pragną, aby on nadal "nakładał kaganiec" ukraińskiemu nacjonalizmowi, żeby tłumił go, bo Związek Sowiecki nie może pozwolić sobie obecnie na tolerowanie na Ukrainie wypadków, które dzieją się w republikach bałtyckich i w Armenii. To nie może powtórzyć się na Ukrainie.

Szczerbicki rządzi oczywiście na Ukrainie z ramienia Moskwy. Ukraina przeżywa mimo wszystko wielki rozkwit nacjonalizmu. Przykładem tego są choćby masowe demonstracje, które odbyły się tego lata we Lwowie, kiedy to 50 tys. ludzi wyszło tam na ulice, by wyraźnie postawić swoje żądania. Na Ukrainie uaktywnili się także dysydenci protestując m.in. przeciw rusyfikacji swojej ojczyzny - przeprowadzano ją za czasów Breżniewa. Obserwuje się ostatnio również falę zainteresowania zbrodniami stalinowskimi i współczucie dla ich ofiar. Miało na to wpływ odkrycie masowych grobów w Kuropatkach /na Białorusi/. Odkrycie tych grobów odbiło się szerokim echem na Ukrainie. Musi - jak sądzę - dojść do odkrycia podobnych miejsc na Ukrainie; jeśli wziąć pod uwagę, jaki wpływ miało odkrycie na Białorusi, można sobie wyobrazić, jaki wpływ będzie miało podobne odkrycie na Ukrainie. A pręcej czy później musi to nastąpić.

Jeśli chodzi o drugą część tego pytania, to myślę, że jest ona niezbyt przemyślana. Bo brzmiała tak: "czy opozycja /na Ukrainie/ rozwija się?" Fakt, że polski rozmówca pyta o to, oznacza, iż nie otrzymuje on informacji o tejże opozycji ukraińskiej i w ogóle o tym, co się dzieje na Ukrainie. A opozycja na Ukrainie rozwija się w wielu formach. Istnieje np. sekcja ukraińska ogólnosowieckiej opozycyjnej partii demokratycznej. Ta partia działa w Moskwie, jest to właściwie ukraiński oddział partii moskiewskiej. Na Ukrainie wychodzą periodyki samizdatowe - społeczne i literackie. Działają również opozycja religijna, zwłaszcza wśród podziemnego kościoła katolickiego na Ukrainie, zwłaszcza na Ukrainie Zachodniej. Mamy też masowe wystąpienia robotników, chłopów i intelektualistów. W takich miastach jak Odessa, Charków czy Lwów działają także oficjalne grupy domagające się np. przywrócenia należnych praw językowi ukraińskiemu, tzn. chodzi im o to, aby stał się on oficjalnym językiem na Ukrainie. Ludzie domagają się też rozbitcia lokalnej mafii partyjno-rządowej, działającej na Ukrainie. Zwłaszcza po katastrofie w Czarnobylu, problemy ekologiczne nabrały ogromnego znaczenia.

Ponadto, co należy podkreślić, jest wiele żądań wysuwanych przez ugrupowania o charakterze prawicowym - są one najbardziej radykalne wśród oficjalnie istniejących na Ukrainie ugrupowań inteligentkich, za co jeszcze trzy lata temu można było zakładać 15-letni pobyt na Syberii. Wysuwane są również żądania np. wybudowania Pomnika Ofiar Głodu na Ukrainie w latach 30-tych, głodu wywołanego z premedytacją przez Stalina.

A w jakim kierunku zmierza ta opozycja? Otóż trudno powiedzieć, albowiem wszystko zależy, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach zostanie usunięty Szczerbicki. Jednak, jak sądzę, w toku tego rozwoju należy dążyć do tworzenia się bardziej zorganizowanej opozycji, do sformowania ukraińskich partii narodowo-demokratycznych, do uformowania partii, które będą otwarcie wzywać do oddzielenia się od Związku Sowieckiego. Ostatnio jesteśmy świadkami tworzenia się podobnych ugrupowań w republikach bałtyckich, również w Armenii czy Gruzji. Kolejny krok zostanie uczyniony - jak sądzę - przez młodsze pokolenie inteligencji dysydenckiej. Chodzi tu o osoby wolne od pewnych nawyków, przyzwyczajzeń, czy też obciążzeń starszego pokolenia opozycjonistów.

Jeśli nie wysuwa się pewnych radykalnych żądań, to dlatego, że opozycja na Ukrainie, a przynajmniej duża jej część, nie chce uchodzić za przeciwników nowego kursu Gorbaczowa - głośności i pierestrojki. Czyli wchodzi tu w grę względy czysto taktyczne. Grupy te mogłyby zostać oskarżone o pośrednie sprzyjanie twardogłowym, o stawianie sobie do działania dla burżuazyjnych. Jest to jeden kierunek. Drugim kierunkiem jest - jak sądzę - ruch na rzecz reelejalizacji Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego.

Są już oznaki tworzenia się takiego ruchu, w czym pomagają nawet niektórzy działacze katolicy na Ukrainie. W 50-milionowej populacji Ukraińców, tylko 6-7 mln to katolicy. Większość Ukraińców należy do Kościoła Prawosławnego. W tej chwili z 6800 parafii prawosławnych w całym Związku Radzieckim, 4000 tych parafii znajduje się na Ukrainie. Wobec tego, gdyby doszło do relegalizacji dwóch kościołów /tzn. Autokefalicznej Cerkwi Ukraińskiej i Ukraińskiego Kościoła Katolickiego/ rosyjska Cerkiew Prawosławna utraciłaby grunt pod nogami, zostałaby zdekapitowana.

Innym problemem jest ukraiński przemysł. Znajduje on się głównie w zagłębiu Donbasu, jest archaiczny, przestarzały, zatruta środowisko. Nadto, od reform Gorbaczowa nie przybywa towarów w sklepach. W tej chwili zaopatrzenie jest zdecydowanie gorsze niż za czasów Breżniewa. Jak powiedział sam Gorbaczow, zanim się popolepszy, musi nastąpić pogorszenie. W związku z tym, że reformy Gorbaczowa nie wypełniły sklepów towarami, jest większe prawdopodobieństwo, iż będzie się plenić korupcja. W związku z tym muszą wystąpić oznaki niezadowolenia wśród robotników. A należy pamiętać, że w takich republikach jak Ukraina, społeczne i narodowe niezadowolenie łączą się ze sobą w dynamiczny sposób. Powstaje potężna mieszanina wybuchowa. Oznaką tego mogą być wypadki, które rozegrały się na Ukrainie zachodniej, gdzie prosty robotnik Iwan Makar, który od sierpnia 1988 r. do dziś przebywa w więzieniu, prze wodził demonstracjom, które odbyły się na Ukrainie w lecie. Wyrażał on pełnym głosem swoje żądania, np. domagał się zamknięcia specjalnych sklepów dla funkcjonariuszy partyjnych. Głosił swoje poglądy otwarcie. Domagał się również wytoczenia procesów kryminalistom z NKWD, którzy dopuszczali się zbrodni w czasie wojny. I właśnie ów trzeci opozycyjny kierunek będzie łączył się z protestami robotników. Należy pamiętać, iż to właśnie w ukraińskim zagłębiu Donbasu doszło w roku 1977 do pierwszych robotniczych wystąpień.

- Czy widzisz szanse i możliwości współpracy ugrupowań niepodległościowych w naszych krajach?

- Tak, oczywiście. Jak już wspominałem, wszystkie emigracyjne grupy ukraińskie są grupami niepodległościowymi, a zatem w naturalny sposób poszukują kontaktów z polskimi ugrupowaniami niepodległościowymi, dążą - by tak rzec - ku nim. Jeśli chodzi o polską opozycję, to według mnie, powinna ona doceniać, rozumieć i dostrzegać Ukraińców, działających w swoich środowiskach - chodzi mi o członków społeczności ukraińskiej, zamieszkałych w Polsce. Polska opozycja powinna również zapoznać się z opiniami tychże Ukraińców, odnoszących się do współpracy z ukraińską emigracją.

No cóż, ta wspólna platforma, o którą pytasz, do pewnego stopnia już istnieje. Jak już mówiłem, istnieją i działają takie grupy jak European Liason Group, działająca w Londynie, która organizuje, łączy wszystkie narodowości Europy Środkowej, także Rosjan, stojących na stanowisku, iż narodowości zamieszkujące ZSRR powinny mieć prawo do niepodległości w swoich własnych ojczyznach. Działa jeszcze "Antybolszewicki Blok Narodów", który jest organizacją, stojącą bardziej na prawo. W Sowietach działa również podobna organizacja, składająca się z członków nierosyjskich narodowych ruchów demokratycznych. Powstała ona w czerwcu br. we Lwowie, na Ukrainie Zachodniej. Od tamtej pory zorganizowała dwa wieca w Rydze. Przedstawiciele wszystkich nierosyjskich grup narodowościowych, wyjąwszy być może muzułmanów z Azji Środkowej, są członkami tej organizacji, zwanej "Komitet Koordynacyjny Nierosyjskich Narodów Związku Radzieckiego". Uważam, iż członkowie grup niepodległościowych oraz tych ugrupowań, które popierają współpracę takich grup emigracyjnych jak European Liason Group i organizacji działających wewnątrz ZSRR powinni nawiązać ściślejszą współpracę, powinni współdziałać. Podobny krok byłby decydującym sprawdzianem dla Moskwy, wielką dla niej próbą. Uważam, że Sowietci są taką perspektywą zaniepokojeni, czego dowodem - enuncjacje prasowe, jakie nastąpiły po przeprowadzeniu przez KGB operacji "Bumerang" /patrz szczegóły "N" 83-84/. Kreml bardzo niepokoją jakiegokolwiek próby "nieoficjalnej" współpracy polsko-ukraińskiej, przebiegającej ponad granicami obu krajów i bez kontroli z góry. Taka współpraca i współdziałanie musi się spotkać z negatywnymi i wrogimi reakcjami ze strony władz i partii komunistycznych zarówno Sowietów jak też Polski.

- Czy widzisz jakąkolwiek szansę na to, by - jak my to nazywamy - pełzający konflikt regionalny w Europie Środkowej dotarł do świadomości Zachodu?

- Nie jest prawdą, że Zachód nie zdaje sobie sprawy z istnienia konfliktu w Europie Środkowej. W prasie można przeczytać o konfliktach rozgrywających się zarówno w Związku Radzieckim jak i w Europie Środkowej; prasa ta nie pomija tego, że istnieją konflikty narodowościowe w ZSRR. Pierwszym na to dowodem było doniesienie o zaburzeniach w Kazachstanie w grudniu 1986r. Wielu zachodnich dziennikarzy akredytowanych w Moskwie, zaczęło szukać wtedy na mapach, gdzie właściwie leży Alma-Ata. To właśnie dzięki własnej prasie Zachód stał się świadomy tego, że w wielonarodowościowym państwie - takim jak ZSRR - istnieje problem narodowościowy i jest on bardzo nabrzmiały.

Problemy w Europie Środkowej - w Polsce, w Czechosłowacji itd. - też wciąż istnieją. Istnieje również problem niemiecki. Kanclerz Kohl przyjechał do Moskwy, żeby to orzec. Nie spotkałbym się ze stwierdzeniem, że mieszkańcy Zachodu nie są świadomi tych problemów, nie wiedzą o ich istnieniu. Politycy zachodni dobrze o nich wiedzą, zwłaszcza o problemie narodowościowym. Szczególnie szeroko jest o nim wiedza w USA i w Kanadzie. Tyle, że politycy zachodnio-europejscy są bardziej - by tak

rzec - rusocentryczni. Oni jeszcze myślą kategoriami Rosji, Imperium Rosyjskiego, dotyczy to także problemów narodowościowych. Jednak największym - moim zdaniem - kłopotem jest mentalność jałtańska, myślenie kategoriami Jałty. Polega to na tym, że Zachód twierdzi, iż wszystko jest OK, np. wysłanie broni partyzantom antysandinistowskim w Nikaragui, afgańskim mudżahedinom, itd. Ale oczywiście broni nie wolno wysłać do Europy Wschodniej - czy też już bardziej konkretnie - Ukrainom albo Polakom. Te terytoria, w oczach Zachodu, podlegają jurysdykcji Związku Sowieckiego. Jest to niekwestionowana strefa wpływów ZSRS. Zachód musi zrozumieć, że przy jego współudziale Sowiety roszczą sobie prawa do tych ziem, do uznawania ich za swoją strefę interesów. A przecież ziemie te powinny być uważane dokładnie za takie same terytoria jak Afganistan, czy też Angola, czy też jakikolwiek inny kraj na świecie, będący areną konfliktu regionalnego. Nie powinny być one uważane za terytoria, na których Sowiety mają prawo decydować o wszystkim.

Z tym zagadnieniem łączy się też pytanie dotyczące samego Związku Sowieckiego. Jak słyszę, niektórzy politycy, zwłaszcza politycy zachodnio-europejscy, boją się tego, co nastąpi, gdy Związek Radziecki rozpachnie się. Musimy ich przekonać, iż leży w ich interesie, by ZSRS rozpadł się na niezależne państwa narodowe. Wcale nie pociągnęłoby to za sobą, by tak rzec, bałkanizacji Związku Sowieckiego. A jeśli komunizm upadnie, ale Sowiety zamienią się w Imperium Rosyjskie, to przecież należy przypuszczać, że nie przestanie ono być groźne dla Zachodu. Tak jak imperium carskie stanowiło niegdyś zagrożenie dla imperium brytyjskiego. Jedyną więc szansą na to, by Zachód uniknął zagrożenia ze Wschodu polega na rozpadnięciu się imperium sowieckiego.

- Jak oceniasz dziesięć lat pontyfikatu Papieża Polaka z perspektywy Europy Środkowej?

- Dla większości Ukraińców, czy to przebywających na emigracji na Zachodzie, czy to mieszkańców Ukrainy - nawet dla Ukraińców niekatolików - pontyfikat polskiego Papieża był ogromnym krokiem naprzód. Jan Paweł II jest - jak sądzę - pierwszym papieżem, który doskonale rozumie położenie chrześcijan, żyjących w bloku komunistycznym. Jan Paweł II jest również pierwszym papieżem, który nie stawia kwestii dialogu oraz "Ostpolitik" Watykanu względem Cerkwi rosyjskiej nad interesami wyznawców, zamieszkujących te kraje, np. Ukraińców - katolików. Właśnie ci Ukraińcy pierwsi z zadowoleniem powitali ów fakt, zaś sympatia i zrozumienie, jakie Jan Paweł II przejawia wobec ich Kościoła niezmiernie im pomogły. Stanowisko Papieża okazało się nieocenionym wsparciem moralnym udzielonym tym Ukraińcom - wyznawcom Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Pomogło im ono w kontynuowaniu kampanii na rzecz relegalizacji ich Kościoła, prowadzonej od początku lat 70-tych, a zwłaszcza na początku lat 80-tych. Rosjanie nienawidzili polskiego Papieża, nazywając go sługą faszystów - i tak dalej. Uważam, że to oni zorganizowali spisek i zamach na życie Jana Pawła II. Powodem było poparcie, którego udzielał "Solidarności" czy też Ukraińskiemu Kościołowi Katolickiemu. Jak mi powiedziano, przy każdym spotkaniu Papieża z przedstawicielami rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, za każdym razem podnosi On sprawę relegalizacji Ukraińskiego Kościoła Katolickiego.

Z tych właśnie powodów Ukraińcy nazywają Jana Pawła II wielkim wspomocznikiem Katolickiego Kościoła Ukraińskiego, wielkim jego dobroczyńcą. W tym roku, w lipcu, byłem obecny w Rzymie na uroczystościach milenijnych, kiedy to Papież Polak wziął udział w wielu nabożeństwach ukraińskich, mówił po ukraińsku, pozdrowił Ukraińców. Oczywiście takie postępowanie budzi w oczach Ukraińców wielką sympatię. Chodzi mi zarówno o emigrację jak i o mieszkańców Ukrainy - uroczystości milenijne były bowiem transmitowane na Ukrainę przez zachodnie rozgłośnie radiowe. Wsparcie Papieża dostarcza silnych argumentów Ukraińcom w ich dyskusjach, prowadzonych w tym milenijnym roku z rosyjską Cerkwią Prawosławną. Trzeba bowiem mieć na uwadze to, iż Cerkiew wspólnie z reżimem radzieckim całkowicie zmonopolizowała obchody uroczystości milenijnych w ZSRS. Nie dopuszczono do pojawienia się jakiegos elementu ukraińskiego czy też białoruskiego w uroczystościach. Tylko dzięki silnemu poparciu, jakiego Jan Paweł II udziela Katolickiemu Kościołowi Ukraińskiemu i w ogóle ukraińskim chrześcijanom, tylko dzięki temu, opinia światowa poparła stanowisko Ukraińców w tym sporze. A było ono takie - uroczystości milenijne powinny być obchodzone w Kijowie, a Ukraińcy bardziej niż Moskwianie. - Lata II Wojny Światowej stanowią dla Polaków najbardziej bolesny rozdział w polsko-ukraińskich stosunkach w XX wieku. Nic nam nie wiadomo, żeby strona ukraińska poczuwała się do odpowiedzialności za eksterminację ludności polskiej np. na Wołyniu, której w żadnym stopniu nie usprawiedliwiają pacyfikacje ludności ukraińskiej w międzywojennej Polsce /do odpowiedzialności za które znaczny odłam polskiej opozycji się poczuwa/. Dlaczego?

- Zadałeś pytanie tak mało precyzyjne, że trudno będzie na nie odpowiedzieć krótko. Chciałbym zacząć od tego, że jakakolwiek eksterminacja niewinnych cywilów, dokonana niezależnie gdzie i przez kogo, powinna być potępiona. Na wojnie dzieją się okrutne rzeczy i zabijanie bezbronnych cywilów powinien potępić każdy. Oczywiście musimy uzmysłowić sobie to, iż podobne rzeczy działy się po obu stronach. Więc w grę wchodzi nie tylko mordowanie Polaków przez nacjonalistów ukraińskich; ci ukraińscy nacjonalisci mogliby podać liczne odwrotne przykłady, kiedy to Polacy mordowali bezbronnych

Ukraińców. Sądzę, że bardzo trudno jest dociec źródła, gdzie zaczął się ten konflikt, kto rzucił pierwszy kamień. W czasie wojny partyzanckiej - a trzeba pamiętać, że na terenach Galicji toczyła się wojna partyzancka - Niemcy i Rosjanie nępuszczali na siebie Polaków i Ukraińców i wygrywali przeciwko sobie jednych i drugich. Począwszy od 1948 r. Ukraińcy podjęli walkę, zarówno przeciw Niemcom, jak i Sowietaom, podczas gdy Polacy w tym okresie uważali za swojego wroga jedynie Niemców. A zatem współdziałali z Sowietaami, co powodowało jeszcze większy wzrost nastrojów antypolskich wśród nacjonalistów ukraińskich. Do tego jeszcze dochodzi problem, że partyzantów nie można rozpoznać tak łatwo jak rozpoznaje się - po mundurach - żołnierzy armii regularnej. Jeśli partyzant ukryje broń, niczym się nie będzie różnić od przeciętnego mieszkańca miasta, robotnika, chłopa czy wieśniaka. Trzeba też pamiętać o tym, iż partyzanci popierali się przez cywilów; bardzo trudno odróżnić jednych od drugich.

Uważam, że zarówno Polacy jak Ukraińcy powinni wyjść ze swoich gett jeśli chodzi o przestrzeganie historii ostatniej wojny. Powinni wyżyć się uprzedzeń. Polacy - jak sądzę - uważają, że po jednej stronie była AK, a po drugiej stronie - UPA. Przyjmują nadto taki punkt widzenia, iż jedna strona nie robiła nic złego, natomiast wszystko zło przypisuje się drugiej stronie - stronie przeciwnej. Uważam, że dotyczy to głównie Polaków, zwłaszcza stronie polskiej trudno przystać na inny obraz sytuacji. Polacy sądzą, że to oni nie zrobili nic złego, natomiast całe zło przypisują Ukraińcom. A faktem jest, że w całej polskiej prasie podziemnej nie znalazłem, jak dotychczas, niczego, co dotyczyłoby pacyfikacji przeprowadzonej w latach 30-tych, chodzi mi o prasę podziemną, docierającą na Zachód. W ogóle bardzo niewiele ukazało się w tej prasie na temat okresu międzywojennego, za to bardzo wiele na temat okresu lat 40-tych. Daje to stronie polskiej zniekształcony obraz tego, jak rozpoczął się konflikt. Fałszywie tłumaczy to jego początek. A faktem jest to, że już w 1938r. istniały animozje polsko-ukraińskie spowodowane złym traktowaniem przez przedwojenny rząd polski - przez 20 lat - mniejszości narodowych, zwłaszcza Ukraińców, co było sprzeczne z międzynarodowym prawem Ligi Narodów dotyczącym mniejszości narodowych. Należy zatem umiejscowić konflikt z lat 40-tych w swoim prawidłowym kontekście.

Nie zgadzam się z tezą, jakoby współcześni Polacy akceptowali takie akcje jak - powiedzmy - pacyfikację zwaną "Akcja Wisła". Nie zgadzam się również z tym, że należy obarczać ich odpowiedzialnością za tamte sprawy, jednak obie strony muszą przebyć długą drogę, by przezwyciężyć wszelkie wzajemne uprzedzenia i zahamowania. Rzecz cała polega na zrozumieniu wzajemnych racji, przyczyn konfliktów, oraz oczywiście punktu widzenia każdej ze stron.

W latach 40-tych Polacy uważali AK za jedyną organizację, która walczy o Polskę. Na tej samej zasadzie nacjonalista ukraiński naprawdę nie miał wyboru i musiał wstąpić do takiej organizacji jak UPA, po prostu dlatego, że żadna inna nie istniała. Ukraińiec nie mógł wstąpić do AK, bo Ukraińcy nie zgadzali się z polityką polskiego rządu zarówno jeśli chodzi o mniejszości narodowe, w szczególności Ukraińców, jak o zagadnienia dotyczące terytoriów wschodnich Rzeczypospolitej. Nie mógł on też wstąpić do oddziałów sowieckich, dlatego że był przeciw Sowietaom, a popierał niezależną Ukrainę. Jego możliwości wyboru były zatem bardzo ograniczone. I cóż on miał robić? Znajdował się między młotem a kowadłem. Jestem pewny, że w toku formułowania się takiej polityki, błędy zostały popełnione. Ale jest nieprawidłowym przypuszczenie, że błędy popełniła tylko jedna strona.

- Czy wierzysz, że za życia naszego pokolenia nasze kraje mają szansę "wybicia się na niepodległość"? Czy widzisz możliwość zinstytucjonalizowania współpracy niepodległych krajów naszego regionu?

- Tak, wierzę, iż dojdzie do odzyskania niepodległości przez Polskę i Ukrainę za życia naszej generacji. Gdybym w to nie wierzył, gdybym nie był o tym przekonany, nie robiłbym tego, co robię. Oczywiście, koncepcja zinstytucjonalizowanej współpracy naszych narodów w tej części świata jest bliska naszym sercom, zaś jej ostoją muszą być wolna Polska i Ukraina. Musimy więc kłaść trwale podwaliny pod tę współpracę. A potem rozbudowywać ją, po to, by narody leżące między Niemcami a emiczną Rosją zbudowały silny łańcuch, silny więź narodów dotychczas podporządkowanych, podbitych. W szczególności musimy znieść istniejące bariery istniejące dziś pomiędzy tym, co nazywamy Europą Środkową i Związkiem Sowieckim. Żeby np. Polacy mogli swobodnie utrzymywać kontakty z narodami leżącymi na wschód, np. z Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, itd.

Dlaczego sądzę, iż do odzyskania niepodległości dojdzie za mojego życia? Otóż dlatego, że widzę kryzys trawiący system sowiecki. A nie wierzę, że Gorbaczowowi się powiedzie, zarówno ekonomicznie, jak i politycznie. Myślę, że jest on skazany na niepowodzenie, że jemu nie może się udać, że system sowiecki, a także ideologia sowiecka znajduje się w stanie głębokiego kryzysu, głębokiej depresji. Jest to ideologia, która zbankrutowała, nie posiada ona żadnej legitymizacji. Dla 150 ludzi, żyjących pod jej rządami począwszy od 1917 r., słowo "komunizm" kojarzy się jedynie z represjami, natomiast dla poszczególnych narodowości nierosyjskich, komunizm to wynarodowienie, to rusyfikacja, przeprowa-

tef & rany byta broj
u modestomyn
epemflora!

A handwritten signature or scribble consisting of several connected, fluid strokes, possibly representing a name or initials.

W ciekawym wywiadzie na temat kwerendy archiwalnej w ZSRR do swej książki "Polacy na Ukrainie 1831-1863" /Wyd. Instytut Literacki 1987/ prof. Daniel Beauvois stwierdza, że szlachta polska spisana przez komisję carską do stanu chłopskiego podczas weryfikacji dyplomów szlacheckich, tzw. jednodworcy, "zniknęli, pogrzeżyli się w chłopstwo, a ślady po nich zostały zatarte" /str. 11/. Otóż stwierdzenie to nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Te 400 tys. osób, o których mówi Autor /str. 9/ pozbawionych życia obywatelskiego, bynajmniej nie zniknęło. Przeciwnie, ta zdeklasowana grupa społeczna zachowała w ogromnej większości, także w stanie chłopskim, zarówno swoją świadomość narodową, jak i wyznanie. Ono właśnie było i nadal jest znamioną jej cechą i wartością, pozwalającą jej współczesnym potomkom utożsamiać się z polskim pochodzeniem i rzymskim katolicyzmem. Na tych masach chłopskich /pewna ich część pochodziła z mazurskiego osadnictwa, prowadzonego w XVII i XVIII wieku przez niektóre rody magnackie/ opierała się cała struktura Kościoła katolickiego do rewolucji bolszewickiej i po niej, dopóki nie została zlikwidowana w latach 30-tych.

Gdy cała warstwa ziemiańska po Traktacie Ryskim wyjechała lub uciekła z Ukrainy do Polski, pozostały setki tysięcy potomków owej schłopiałej szlachty o bardzo żywej polskiej świadomości narodowej, stanowczo odrzucających komunizm i patrzących w stronę odrodzonej Polski. To dla nich Stalin stworzył autonomiczny obwód polskojęzyczny ze stolicą w Dowbyszu i utrzymywał do 1935 roku polskie szkoły na całej Ukrainie, prasę polskojęzyczną, kluby i inne instytucje z myślą o bolszewizacji Polaków. Nie przyniosła ona żadnych wyników. W 1936 roku byli oni masowo deportowani do Kazachstanu, w liczbie trudnej dziś do ustalenia. W niektórych okolicach deportacje objęły mniej niż połowę ludności polskiej, w innych większość. Wskazują na to relacje tych, którzy pozostali na miejscu, łatwe dziś do uzyskania. Żyjący od z górą trzydziestu lat w Kazachstanie Jan Plater-Gajewski ocenia liczbę Polaków w tym kraju na 250 do 300 tys. osób /"KURIER POLSKI" z 10 października 1988, Warszawa/.

Okolo 50 parafii katolickich istniejących za Zbruczem /o rejestrację dalszych idą starania/ opiera się na ludziach, którzy ocalili od deportacji i represji końca lat 30-tych, a którzy są potomkami jednodworców. Świadczą o tym nazwiska, w ogromnej większości polskie, pomimo od lat prowadzonej, stopniowej ich ukraiinizacji. Andrycz zostaje zamienione na Andryczyszyn, Gumnicki na Gumeniuk, Kułakowski na Kułak, Skorupski na Szkarupskij itp. W przytłaczającej większości ludność ta została zapisana wbrew jej woli i często bez pytania jako Ukraińcy, przy zastosowaniu bardzo prostego argumentu: "Urodziłeś się na Ukrainie, ukraiński chleb jesz, po polsku nie umiesz - to jaki ty Polak".

Schemat tego rozumowania powtarzał się przy kolejnych spisach ludności. Czy powtórzy się także przy ostatnim, rozpoczętym 12 stycznia br. - pokaże najbliższa przyszłość. W każdym razie w okolicy Wilna wpisy danych osobistych do arkuszy służących w czasie spisu i tym razem robiono zwykłym okółkiem, a nie długopisem, jak było zapowiedziane w "CZERWONYM SZTANDARZE" /np. nr z 3 stycznia 1989/, co może mieć tylko jedno wyjaśnienie, że dane zostaną zmienione według życzenia władz.

W ostatnich dniach grudnia ub. roku telewizja sowiecka podała, przynajmniej na Ukrainie, że każdy obywatel powinien w czasie spisu ludności bez żadnych obaw podawać swoją narodowość i że nie wolno wywierać żadnych nacisków w tej dziedzinie. Czy jest to jedynie chwyt propagandowy, który będzie można odpowiednio wykorzystać, wskazując, że liczba Polaków według nowego, sprawiedliwego spisu bynajmniej nie jest wyższa od poprzedniego?

Średnie, młodsze i najmłodsze pokolenie ludności, o której tu mowa, poza niewielkim jej procentem, nie zna już języka polskiego. Jego utrata dokonywała się stopniowo. Najcięższy cios zadały mu deportacje i represje, wymierzone przede wszystkim w najbardziej świadomy narodowo i religijnie element polski. Potwierdzają to różne świadectwa. Jedna z miejscowych kobiet w rozmowie ze mną we wiosce Płoskirów obłasti Chmielnickiej powiedziała: "Po wywózkach i represjach zostały się same betriki" - to znaczy ludzie mało rozzgarnięci, "barany", jak sama to wyjaśniła, na pytanie, co znaczy słowo "betriki".

Pomimo tragicznych przejść schłopiałej dawnej szlachty na Ukrainie, polski charakter zachowało tam do dziś odradzające się obecnie z dużą siłą życie religijne, przechowujące w niezminionej formie wiele elementów XIX-stowiecznych jeszcze, lub nawet starszych obrzędów i zwyczajów kościelnych. W sumie jest to bardzo interesujący dowód "długiego trwania" w historii. Nie wszystkie ślady zostały zatarte.

W tym samym numerze "ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH", w artykule "Najboleśniejsza biała plama", Autor podpisany SWR pisze o eksterminacji i wywózkach Polaków z Ukrainy w latach 1936-1937 i ocenia, że "na pewno w 1938-1939 roku trudno było znaleźć Polaka tam i gdzie indziej" /str. 46/. Trudno się z tym zgodzić. Tego rodzaju opinie powstają z braku dostępu do terenów, o których tu mowa. Obecnie, gdy dostęp ten jest już możliwy, należy je korygować. Łatwo jest stwierdzić, nawet w przygodnej rozmowie ze spotykanymi Polakami, że duża część ludności polskiej, najbardziej i najmniej rzuca-

jąca się w oczy, pozostała w rodzinnych stronach, choć niekiedy zniknęły całe wioski.

Po wojnie bardzo niewielki procent deportowanych do Kazachstanu Polaków mógł powrócić do swoich siedzib. Prawo do powrotu mieli tylko ci, którzy służyli w wojsku podczas wojny /mężczyźni i kobiety/. Obejmowało ono także najbliższą rodzinę, to znaczy rodziców, małżonków i dzieci, braci i siostry. Wydaje się, że spośród Polaków zesłanych do Kazachstanu stosunkowo mało powoływano do wojska. Zapewne dlatego, że widziano w nich element niepewny politycznie.

W formie dygresji warto tu dorzucić, że Polacy zza Zbrucza służyący w wojsku w czasie wojny, mieli również prawo wyjeżdżać do Polski po jej zakończeniu wraz z najbliższą rodziną. Stąd zaskakujący fakt, że ludzie, którzy od niepamiętnych czasów mieszkają w województwach żytomierskim, winnickim, czy chmielnickim, mają w Polsce bliskich krewnych. Obecnie, po ułatwieniach paszportowych, w miastach i miasteczkach można spotkać samochody z polską rejestracją.

Miejscowi księża skarżą się niekiedy na tych przybyszy z Polski, twierdząc, że są oni zgorszeniem dla miejscowych wiernych. W niedziele i święta, zamiast jechać daleko do kościoła, jak to czynią miejscowi katolicy, idą do cerkwi, mówiąc, że to to samo i powołują się przy tym na odpowiednie pouczenia swoich duszpasterzy w Polsce. Innym zarzutem jest to, że nierzadko nie idą wcale.

Do "najboleśniejszych białych plam" warto dorzucić przechowywane, jak dotychczas w ustrzych przekazach, świadectwa o zbrodniach NKWD na Ukrainie, dokonywanych na ludności ukraińskiej i polskiej. Dwa znane powszechnie miejsca kaźni w obłastach winnickiej i chmielnickiej, to Winnica i Płoskirow. Winnica była miejscem masowych rozstrzeliwań ludzi w latach 1937-1940. Miejsce kaźni było otoczone szczelnym drewnianym płotem. Rozstrzeliwano nocami przy zapuszczonych motorach samochodów ciężarowych, celem głużenia strzałów. Po wkroczeniu Niemców na Ukrainę w 1941 roku ludność miejscowa natychmiast zaczęła rozkopywać groby, w celu rozpoznania bliskich. Niektórzy z pomordowanych nie byli rozstrzelani, lecz, jak mówią przekazy, nawlekani kolejno, przez uszy, na zaostyczny, stalowy drut. Do dziś żyją w okolicy Winnicy ludzie którzy oglądali zwłoki pomordowanych. Dziś na miejscu masowych grobów jest rozległy i zadrzewiony park miejski. Jak wyraził się kiedyś po pijanemu jeden z b.funkcjonariuszy NKWD o tym miejscu: "pod każdym drzewem leży tam człowiek". Ale o tym mówi się nadal tylko w największej dyskrekcji. Jeszcze nie tak dawno, za Breżniewa, nawet aluzują na ten temat interesowało się natychmiast KGB, co bardzo skutecznie zamykało ludziom usta.

Każd w Płoskirowie odkryto przypadkiem, przy budowie wielkiego domu towarowego w 1968 roku. Równając teren sączące ziemi natrafiły na piwnice nieistniejącego już więzienia i siedziby NKWD z okresu międzywojennego. Znajdowały się tam, w postawie stojącej, setki trupów mężczyzn, zбитych jak śledzie w beczce. Nie byli rozstrzelani, lecz zostali zaduszeni przez brak powietrza. Teren otoczyła milicja, ogrodzono go wysokim, szczelnym płotem i odkryte zwłoki wywieziono w nieznanym kierunku. Wieść o tym rozeszła się szeroko wśród ludności polskiej i ożyły wówczas wspomnienia, do dziś powtarzane, o nagłym zabieraniu mężczyzn z domów i z pracy do więzienia w Płoskirowie. Żaden z nich nie wrócił do siebie. Do dziś można spotkać kobiety w podeszłym wieku, które w latach 1937-1939 stały pod tym więzieniem, usiłując na próżno przekazać coś swoim mężom, czy braciom.

Na miejscu tego masowego grobu, nie bacząc na wstrząsające odkrycie, zbudowano największy w mieście dom towarowy. Miejscowi Polacy pokazują go dziś gościom z Polski, przypominając na jakich fundamentach stoi. Ciekawe, że w przeciwieństwie do Białorusi /sprawa masowych mordów dokonywanych przez NKWD w Kuropatach została ujawniona i jest szeroko dyskutowana w oficjalnej prasie/ na Ukrainie, jak dotychczas, ani słowem nie wspomina się o podobnych zbrodniach.

Opinie o nieobecności Polaków na Ukrainie po deportacjach do Kazachstanu i represjach z końca lat 30-tych należy prostować, gdyż nie odpowiadają one prawdzie i wbrew intencjom ich autorów mogą służyć jako usprawiedliwienie współczesnej już polityki wynarodowiania elementu polskiego. Bo skoro zniknęli już Polacy, to po co otwierać np. polskie szkoły lub tolerować tak ważną dla ich identyfikacji duchowej i kulturalnej instytucję, jaką jest Kościół rzymsko-katolicki.

* Tezę o nieobecności Polaków na Białorusi i Ukrainie, czy w ZSRR w ogóle, można spotkać w wielu publikacjach francuskich na temat Kościoła i życia religijnego w tym kraju. E.Milcent stwierdza np. w książce "A l'Est du Vatican" /Paris 1980/, że "prawie wszyscy Polacy zostali odesłani do Polski" /str. 105/ po zakończeniu drugiej wojny światowej. Pisząc o katolikach w ZSRR, nie dostrzega Polaków Bernadette Morand w książce "Combat pour la foi" /Paris 1979/. Tego rodzaju opinie zdobyły już sobie często prawo obywatelstwa i przyczyniają się do niebezpiecznego dla Kościoła katolickiego w ZSRR fałszowania obrazu życia religijnego. Może to służyć tylko interesom tego państwa.

Miejscowi duszpasterze, opierając się na kryterium kontaktu z tym Kościołem ludności polskiego pochodzenia rozproszonej na Ukrainie, oceniają jej liczbę na około 50 tys. osób lub nawet więcej. O dokładne rozeznanie trudno. Ciągłe odkrywa się nowe, nieznanne skupiska. Spotkany w pociągu Polak spod Połtawy opowiadał mi, że w połtawskiej oblasti mieszka 33 tys. Polaków i zaczynają się oni organizować. Z wymienianych miejscowości zapamiętałem tylko Łubnie /dawna siedziba księcia Jarosława Wiśniowieckiego/ i Kobelaki. W tej ostatniej miejscowości, która jest siedzibą rejonu /powiatu/, w roku 1988 Polacy otworzyli klasę polską przy miejscowej szkole, oczywiście za zgodą władz, i do nauczania języka polskiego sprowadzili z Wilna absolwentkę tamtejszego Instytutu Pedagogicznego przy Uniwersytecie Wileńskim. Klasa liczy około 30 dzieci. Napisali także podanie do Moskwy o rejestrację parafii katolickiej i zgodę na sprowadzenie księdza. Nadeszła uprzejma odpowiedź, że należy czekać na pozytywne rozpatrzenie sprawy. Ludzie są dobrej myśli. Jeśli parafia zostanie zarejestrowana /według dotychczasowego i niezmienionego jak na razie ustawodawstwa z 1929 roku zajmuje się nią najwyższy Urząd d/s Wyznań w Moskwie/, bardzo trudnym problemem będzie znalezienie dla niej duszpasterza. Zwłaszcza wobec rejestrowania ostatnio coraz to nowych, zlikwidowanych niegdyś parafii. Nawet dla pracujących na Ukrainie księży odkrycie tak licznej grupy Polaków w oblasti połtawskiej było całkowitą niespodzianką. Co prawda chodzi tu o lewobrzeżną Ukrainę. Żyjącej tu ludności polskiej nie dotknęły, o ile wiadomo, deportacje i represje, o których była mowa wyżej. Przynajmniej w takich rozmiarach.

Paryż, 20 stycznia 1989

Czesław TYNNA

MOSKWA MANIPULUJE MILLENIUM

przedruk: "THE AMERICAN SPECTATOR", nr 3, 1988

W tym roku miliony chrześcijan w Związku Radzieckim obchodzą rocznicę, która całkowicie załamuje 70 rocznicę ustanowienia w tym kraju władzy radzieckiej. Wytrzymawszy wszelkiego rodzaju cierpienia i prześladowania, na jakie byli narażeni żyjąc w pierwszym w świecie państwie wojującego ateizmu, z dumą obchodzą oni tysiąclecie chrystianizacji średniowiecznej Rusi Kijowskiej - właśnie stamtąd Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie czerpią dziedzictwo historyczne oraz religijne.

Jeśli jednak chodzi o Kreml, Millennium to wypada dlań w szczególnym okresie. W końcu bowiem ideologia marksistowsko-leninowska zawsze uważała religię za spuściznę przeszłości, spuściznę, którą należało wykorzystać oraz za "ucieczkę" dla osób niewykształconych. Tym niemniej, za rządów Gorbaczowa, który z troską przyznaje, iż stara się przeciwdziałać ideologicznej apatii i cynizmowi, szerzącym się w jego kraju, otwarcie uznaje się trwałą siłę przyciągającą religii, nadto sowieckie władze przyznają obecnie, iż najprawdopodobniej wejście w życie "nowy porządek" w stosunkach z niektórymi ugrupowaniami religijnymi: zamiast dążenia do stopniowego wykorzenia religii, ZSRR będzie zapewne zmierzał do koegzystencji z nią.

Nie ulega wszakże wątpliwości, iż jakikolwiek układ tego rodzaju zostanie ustalony na warunkach Kremla. W ten sposób reżim sowiecki, ostentacyjnie dystansując się od obchodów milenijnych, powierzył ugodowemu przywództwu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej - Patriarchatowi Moskiewskiemu - zadanie organizacji obchodów /.../. Jeśli zaś chodzi o hierarchię prawosławną, dała ona jasno do zrozumienia, iż wykorzysta każdą sposobność, by wychwalać "pokój miłującego" Gorbaczowa i jego rządy, oraz "łaskawy" stosunek genseka do jej Kościoła. Najważniejszym celem będzie więc przekonanie świata, iż w dziesiętym ZSRR panuje całkowita wolność religijna.

Cel ów nie zostanie jednak łatwo osiągnięty. Dlaczego? Oto najważniejszy powód: "głasność" zachęcała wielu działaczy dysydenckich do zwracania uwagi świata na to, jak wolność religijna jest ograniczona w ZSRR, oraz do wywierania nacisku na odwołanie obowiązujących tam ustaw antyreligijnych. Żądania tych osób zagroziły zdemaskowaniem służalczości przywódców oficjalnie uznanego Kościoła, którzy ze swej strony zaprzeczają, by w ogóle istniały takie ograniczenia, czy też problemy, w stosunkach państwo-Kościół. Ale ponieważ dysydenci znaleźli sojuszników pośród inteligencji sowieckiej, niełatwo będzie nałożyć im kaganiec.

Millenium grozi również zwiększeniem się napięć między Rosjanami i ich dwoma siostrzankami - Ukrainkami, oraz Białorusinkami. Patriarchat Moskiewski zamierza obchodzić Millennium - jak to zapowiedział patriarcha Pimen - jako uroczystości tysiąclecia "historycznego istnienia" Rosji, jej "państwowości" i "kultury". W sytuacji, gdy autokefaliczne Kościoły prawosławne - ukraiński i białoruski /również Ukraiński Kościół Katolicki/ są od dawna zakazane w ZSRR, nie dopuszczono do włączenia żadnych pierwiastków ukraińskich, czy też białoruskich w obchody milenijne. Z ich okazji Kreml przy-

dzielił nawet przywódcom Cerkwi nową bazę operacyjną - odnowiony Monastyr Daniłowski w Moskwie.

Nie powinno to budzić zdziwienia: zarówno bowiem w ZSRR jak i poza jego granicami, istnieje grupa ludzi, pragnących wyrównać rachunki. Osoby te podkreślają to, iż Ukraińcy i Białorusini potępiają sposób, w jaki historiografia rosyjska i radziecka przywłaszczyła sobie ich dziedzictwo historyczne i kulturowe, stwarzając fałszywe wrażenie, iż protonarodowe państwo - czyli Rus Kijowska - było po prostu dawną Rosją. W szczególności zaś osoby te kładą nacisk na to, iż państwo moskiewskie nie powstało wcześniej aniżeli w XIII wieku, że jego nazwa "Rosja" /"Rossija"/ została przyjęta dopiero za czasów Piotra Wielkiego, oraz że Kijów, główny ośrodek Rusi Kijowskiej, jest dziś stolicą Ukrainy.

Na dobitkę sprawy komplikuje Moskwie także to, iż Watykan szczególnie interesuje się Millenium oraz uznaje Ukraińców i Białorusinów za tych, którzy mają pełne prawo je obchodzić. Silne poparcie Jana Pawła II dla wyjętego spod prawa Ukraińskiego Kościoła Katolickiego, nacisk jaki kładzie Ojciec Święty na ukraińskie aspekty millenium, oraz jego wyrażone publicznie pragnienie złożenia wizyty w Związku Radzieckim w celu wzięcia udziału w oficjalnych obchodach - wszystko to skupiło uwagę świata na zagadnieniu wolności religijnej w ZSRR, a także bezpośrednio - by tak rzec - zakwestionowało oficjalny stosunek Moskwy do 1000-letniej rocznicy. By zaś uprzędzić zarzuty, iż w tym wypadku Papież jest wyłącznie politykiem, nie zaś duchownym, warto zauważyć, że zainteresowanie Watykanu aspektem historycznym Millenium jest ze wszech miar uzasadnione: oto chrzest państwa Kijowskiego nastąpił 66 lat przed rozłaniem w Kościele Powszechnym, co stało się w roku 1054.

Trudno jest oczywiście określić dokładnie liczbę osób wierzących w ZSRR. W listopadzie tego roku radzieckie czasopismo "NAUKA I RELIGIJA" przyznało, iż co najmniej 20% całej populacji radzieckiej, czyli 60 milionów osób, wierzy w Boga - jest to zapewne bardzo ostrożny szacunek. Pop-dysydent, ojciec Gleb Jakunin, twierdzi na przykład, iż tylko wyznawców Prawosławia jest w ZSRR 30-50 milionów. Jeśli dodać do tego spory odłam populacji /sięgający 20%/ wyznania mahometańskiego, oraz od 5 do 8 milionów katolików obrządku rzymskiego i wschodnich, ogólna liczba wierzących sięga przynajmniej 75 milionów.

Nie uniknęło uwadze reżimu sowieckiego również to, iż liczba chrztów /chodzi tu o dzieci i osoby starsze/ wciąż rośnie, co dotyczy także liczby kościelnych ślubów i pogrzelbów. - Nie obserwujemy obecnie masowego odchodzenia od religii, co miało miejsce w pierwszych latach władzy radzieckiej - przyznało pismo "NAUKA I RELIGIJA". - W niektórych rejonach naszego kraju liczba osób wierzących nawet wzrasta - twierdzą redaktorzy. W pamiętnym artykule, jaki ukazał się ostatnio na łamach pisma "SOCJOLOGICZESKIE ISLIEDOWANIJJA", pop rosyjski zarzuca nawet jakiemś amerykańskiemu specjalście zbyt niepoleganie na źródłach radzieckich, jeśli chodzi o liczbę wierzących w ZSRR, oraz ich poziom wykształcenia i pochodzenie społeczne. /.../ Władze sowieckie jakby nagle zdały sobie sprawę z tego, iż, jak to przypominał we wrzesniu na łamach gazety "MOSCOW NEWS" metropolita Leningradu i Nowogrodu, słęksy: "przeważająca większość" wierzących Rosjan to "sumienni pracownicy" i należą się im pewne względy.

Ow nowy oficjalny stosunek do religii przejawia się rozmaicie. Urzędnicy państwowi wyznaczeni do zajmowania się sprawami religijnymi otwarcie przyznają, iż w przeszłości popełniono w tej dziedzinie "błędy" i zasugerowali nawet, żeby złagodzić restrykcje antyreligijne. Dzięki "głasności" wolno oficjalnie mówić o niektórych aspektach życia religijnego, czego efektem było bezprecedensowe ukazanie się na łamach prasy sowieckiej kilku raportów o gwałceniu praw osób wierzących i rozpoczęciu publicznego "dialogu" między nimi a niewierzącymi. Nadto, zezwolono na przyjazd do ZSRR takim osobom jak matka Teresa, a ich wizytom nadano rozgłos.

Wszystkie te wydarzenia są jednak tylko jedną stroną medalu. Represje religijne jak trwały tak trwają i jasne jest, iż jakakolwiek "nowa tolerancja" będzie odnosić się jedynie do co bardziej uległych wyznawców. Grupy, które odmawiają pogodzenia się z ingerowaniem państwa w życie religijne, na przykład nieoficjalni wyznawcy islamu, dysydenci baptyści, zielonoświątkowcy, adwentyści trzeciego i świadkowie Jehowy, pozostaną, raczej poza nawiasem i nadal będą prześladowane. Wyznawcy-dysydenci wciąż będą wtrącani do więzień, może tylko w mniejszych ilościach aniżeli w poprzednich latach.

Dwuznaczność postępowania Kremla najbardziej przejawia się w nieustannie prowadzonej przez nich propagandzie antyreligijnej, obecnej zarówno w środkach masowego przekazu jak i w wypowiedziach przywódców sowieckich. Choć sam Gorbaczow jest w tym względzie raczej powściągliwy, zdarzyło się jednak, iż jasno i wyraźnie wyłuszczył swoje poglądy; było to w Taszkencie w listopadzie 1986 roku, kiedy to domagał się on "zdecydowanej i bezkompromisowej walki przeciw przejawom religii, a także nasilenia pracy politycznej prowadzonej z masami, oraz propagandy antyreligijnej". Nie tak dawno pismo agitatorów partyjnych "ARGUMENTY I FAKTY" przypominało członkom KPZR o ich obowiązku "zwalczania przesądów religijnych" oraz szerzenia ateizmu.

Tym niemniej, żadne z tych działań nie powstrzymuje aktywnych oponentów od zabierania głosu i domagania się konkretnych zmian w polityce państwa wobec religii. Najbardziej sensacyjne wydarzenie

miało miejsce we wrześniu, kiedy to "LITERATURNAJA GAZETA" opublikowała artykuł pióra jednego z najbardziej poważanych naukowców sowieckich, Dymitra Lichaczowa, który zaatakował prosto z mostu tę politykę. Osiemdziesięcioletni historyk nie tylko wezwał do położenia kresu ingerencjom państwa w życie religijne obywateli, lecz także utrzymywał, iż "wrogość wobec wierzących ma przyczynę w ignorancji" i "braku kultury demokracji".

Wyjawszy zwrócenie uwagi świata na ogólne położenie chrześcijan w ZSRR, dzięki Millenium opinia publiczna, jak nigdy przedtem, została zalarmowana nieustannymi prześladowaniami Kościoła Ukraińskiego i Białoruskiego. Sytuacja jest szczególnie: oto dwóm głównym narodom wyznającym Prawosławie odmawia się prawa do własnych Kościołów narodowych, zbliżonych do - powiedzmy - autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Gruzji, tylko narzuca się im instytucję duchową, która niemal nie kryje własnego nacjonalizmu rosyjskiego, a w praktyce działa jako czynnik rusyfikacyjny.

Sytuację na Ukrainie komplikuje też fakt istnienia Ukraińskiego Kościoła Katolickiego obrządku wschodniego, czyli Kościoła Unickiego. Jest on soją w oku dla rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, odkąd część ukraińskiej hierarchii prawosławnej uznała zwierzchnictwo izyumu w roku 1586. Kościół ów, prześladowany pod rządami carów, został oficjalnie zniesiony w roku 1946 poprzez przymusowe włączenie do Cerkwi Prawosławnej, kiedy to jego bastion - Ukraina Zachodnia - dostała się pod władzę Sowietów. Choć całą hierarchię unicką oraz wielu kapłanów rozstrzelano, sam Kościół, liczący cztery miliony wiernych, nie umarł. Do dziś istnieje on w podziemiu jako najliczniejszy zakazany Kościół w ZSRR.

Patriarchat Moskiewski ma jeszcze jeden powód do zmartwień - otóż, jak się ocenia, niemal połowa czynnych cerkwi na terenie ZSRR znajduje się na Ukrainie, a ponad jedna czwarta z tej liczby - na terenach, które tradycyjnie uznaje się za unickie. Ostatniego lata w pewnym czasopiśmie sowieckim ukazała się informacja, iż "najsilniejszą" eparchią prawosławną, posiadającą "ponad 100 tysięcy czynnych kościołów" jest eparchia lwowsko-tarnopolska, leżąca w samym sercu katolickiej Ukrainy. Wielu "byłych" unitów, którzy uczęszczali do cerkwi, przypuszczalnie uznaje skrycie autorytet Rzymu.

Nic więc dziwnego, iż Patriarchat Moskiewski jest tak drażliwy na punkcie Kościoła Unickiego. Sytuację dodatkowo zoagliły tutaj ostatnie przejawy aktywności katolików ukraińskich, którzy - jak się okazało - potrafili zwrócić uwagę opinii publicznej na swoje krzywdy i żądania. Począwszy od roku 1984 ukazało się przynajmniej 26 wydań podziemnego periodyka "KHONIKA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO NA UKRAINIE". Tymczasem kampania na rzecz legalizacji Ukraińskiego Kościoła Katolickiego przybrała nową formę w sierpniu ubiegłego roku, kiedy to część "ukrytej" hierarchii i duchowieństwa tego Kościoła ujawniła się, następnie zaś, wskazując na zbliżające się Millenium, zaapelowała do Papieża, żeby wystąpił w ich obronie. W tym samym czasie inne nieoczekiwane wydarzenia w Zachodniej Ukrainie skupiły uwagę obserwatorów z wielu krajów. Oto, poczynając od ostatniego kwietnia, opodal Lwowa miała się podobno ukazać kilkakrotnie Matka Boska. Według doniesień, do tego stopnia poruszyło to miejscową ludność, że nawet prasa sowiecka nie mogła pozostać obojętna. Na początku września gazeta "MOSCOW NEWS" przyznała, iż "około pół miliona osób rzuciło wszystko i ruszyło" na miejsce cudownych objawień, które oglądano w zamkniętej kaplicy unickiej w Hruszwyiu /Gruszewie/.

W obliczu wyzwania ze strony Kościoła, który oficjalnie nie istnieje, Patriarchat Moskiewski oraz Kreml mogą zostać zmuszone do złagodzenia swojej nieustępliwości. W listopadzie metropolita Kijowa i Halicza - Filaret - przyznał w rozmowie z dziennikarzami zachodnimi, iż być może, koniec końców, jest "kilka tysięcy" katolików ukraińskich w Zachodniej Ukrainie. Interesująco brzmią także informacje podane przez "MOSCOW NEWS": oto, choć gazeta unika wspomniania o problemie unickim, krytykuje jednak lokalnych urzędników i działaczy partyjnych za to, że wydaje się im, iż "mogą bronić ateizmu wyłącznie poprzez gwałcenie prawa i prześladowania wiernych".

Główną rolę w odrodzeniu Kościoła Unickiego odegrał Jan Paweł II. Za pontyfikatu jego poprzednika, Pawła VI, katolików w ZSRR uznawano za "Kościół milczący". Prawem kontrastu, pierwszy słowiański papież jest źródłem inspiracji dla katolików sowieckich. Czyni on co w jego mocy, żeby polepszyć sytuację prawnie uznanych rzymsko-katolickich wspólnot na Litwie i Łotwie, często też zabierał głos w obronie zakazanego Ukraińskiego Kościoła Katolickiego, troszcząc się o los licznych skupisk wiernych tego Kościoła na obczyźnie. Jednym z pierwszych aktów publicznych Jana Pawła II było wystosowanie listu /w marcu 1979 r./ do przebywającego na wygnaniu przywódcy katolików ukraińskich, kardynała Józefa Slipyja. Ojciec Święty pochwalił jego owieczki za poświęcenia, które znoszą dla swej wiary, oraz wezwał ukraińską hierarchię katolicką, żeby przygotowywała się do "Millenium chrześcijaństwa na Ukrainie".

Nie jest więc zaskoczeniem to, że przedstawiciele Cerkwi Prawosławnej nieustannie krytykują papieża, jakiego Watykan udziela Ukraińskiemu Kościołowi Katolickiemu. w 1980 r. patriarcha Pimen posunął się nawet tak daleko, iż ostrzegł Jana Pawła II, że interwencje Watykanu zagrażają poprawie stosunków między Kościołem Katolickim a Cerkwią. Stanowisko Jana Pawła II w niczym jednak nie uległo zmianie. Nawet gdy władze sowieckie uniemożliwiły mu wizytę na Litwie, która rok temu obchodziła 600-lecie chrześcijaństwa, Ojciec Święty wciąż wyraża pragnienie odbycia pielgrzymki do ZSRR, żeby wziąć udział

w uroczystościach milenijnych - tyle że pod dwoma warunkami: jeśli będzie mógł on odbyć również dwie wizyty duszpasterskie, na Litwę i Ukrainę; oraz jeśli rząd sowiecki uzna Kościół Unicki.

Ostatniej jesieni, kiedy do Moskwy wahała się, czy zaprosić Papieża, uczynił on śmiały krok na własną rękę. Otóż bez rozgłosu zaprosił do Lizjmu przywódców Kościoła Katolickiego z Polski i z Ukrainy, po to, by zlikwidować spory i napięcia narosłe przez wiele lat między polskim Kościołem a około 300-tysięczną grupą katolików ukraińskich, którzy po wojnie znaleźli się na terenie PRL, a których odrębności nie zawsze chciały uszanować lokalne władze kościelne. Podczas uroczystości, jaka odbyła się 17 października, prymas Polski, kardynał Józef Glemp, oraz głowa Ukraińskiego Kościoła Katolickiego, kardynał Mirosław Lubacziwski, odpuścili wzajemnie dawne krzywdy oraz złożyli uroczyste przyrzeczenie współpracy i solidarności. Kardynał Glemp w znaczący sposób wspominał o "zaledwie kilku ołtarzach" dostępnych ukraińskim katolikom w ZSRR, oraz zaprosił kardynała Lubacziwskiego i jego biskupów do wzięcia udziału w polskich obchodach Millenium w Częstochowie.

Perspektywa koncelebrowania Millenium przez emigracyjnych hierarchów ukraińskich w najświętszej świątyni w Polsce, podczas gdy za wschodnią granicą tego kraju bracia w wierze tworzą zakazany Kościół, grozi "odwróceniem uwagi" od oficjalnych uroczystości zaplanowanych przez Kreml. /.../ Kiedy ostatnio metropolita Filaret powiedział polskim i zachodnim dziennikarzom, iż "warunki jeszcze nie dojrzały, żeby zaprosić Papieża", podkreślił jednocześnie, że główną przeszkodę stanowi tu stanowisko Watykanu wobec Ukraińskiego Kościoła Katolickiego.

/.../ Obecnie perspektywy wizyty papieskiej w ZSRR są bardzo nikłe. Reżim sowiecki raczej nie podejmie ryzyka zniszczenia swojego przymierza z Cerkwią, płacąc minimalną cenę za wizytę Jana Pawła II - czyli przyznając wolność religijną katolikom na Ukrainie.

Chcąc zasygnalizować, co może nastąpić, pod koniec ubiegłego roku dziennik "IZWISTIA" przytoczył wypowiedź szefa partii ukraińskiej - Szczerbickiego - z której wynikało, iż Millenium wywołało u młodych Ukraińców wzrost zainteresowania przeszłością kulturalną własnego narodu. W tym samym jednak tygodniu, gazeta ta zamieściła ostry artykuł krytyczny skierowany przeciw katolikom ukraińskim.

W pierwszym tygodniu obecnego roku milenijnego "IZWISTIA" ogłosiły również, iż pewną liczbę byłych kościołów oraz innych budynków należących do wspólnot wyznaniowych w Kijowie, odnawia się z okazji jubileuszu. Po kilku dniach odważył biskup prawosławny Astrachania i Jerotajewki - Fiedosij /pochodzący z Ukrainy Zachodniej; w połowie lat 70-tych został on przesunięty na obecną funkcję z bardziej lukratywnego stanowiska na Ukrainie Srodkowej - za opozycyjność/ napisał w nieoficjalnym wydawnictwie religijnym, iż samo odnawianie świątyń nie wystarczy. - Chrześcijanie nie chcą, żeby ich kościoły i klasztory malowano i zmieniano na muzea ateizmu - stwierdził z naciskiem ojciec Fiedosij - tylko chcą je odzyskać.

Bohdan NAHAYLO

opracował: NASOI

LIST DO WYDAWCÓW "NIEPODLEGŁOŚCI", MIESIĘCZNIKA POLITYCZNEGO ORGANIZACJI LIBERALNYCH DELEGATÓW

Artykuł Cyryla Cywilnego "Oczami Ukraińców", który ukazał się w tegorocznym numerze Waszego pisma z czerwca/lipca /78-79/ przeczytałem z ogromnym zainteresowaniem, choć chwilami również z zaskopowaniem. W szczególności chodzi mi tu o pewne uwagi autora, ponieważ jako współredaktor /drugim jest Józef Darski/ najbliższego, mającego ukazać się, podwójnego numeru polskojęzycznego wydania pisma "SUCZASTINIST"/3-4/1988/, uważam, iż komentarze p. Cywilnego dotyczące pierwszego podwójnego numeru "SUCZASTINIST" wymagają odpowiedzi.

Zacznę od tego, iż my, to znaczy ukraińskie wydawnictwo emigracyjne "SUC.ASTINIST", dziękujemy p.Cywilnemu za komplementy pod adresem tegoż numeru. Wiadomo nam, iż pierwszy numer naszego pisma wywołał szeroki odzew: zarówno na emigracji, jak i wśród polskich czytelników.ównież z Ukrainy nadeszły przychylnie uwagi, w których powtarzało się pytanie: "Dlaczego Wasz periodyk nie ukazuje się częściej?". Niestety, z żalem musimy przyznać, iż polskie reakcje na jego ukazanie się ograniczyły się wyłącznie do takiego właśnie pytania. Dlaczego na przykład żadne polskie ugrupowanie - emigracyjne bądź opozycyjne, działające w kraju - nie odpowiedziało ukraińskim wydawnictwu, powiedzmy "KULTURA" lub powiedzmy - nawet "NIEPODLEGŁOŚCI"? Coś takiego byłoby bardzo na czasie.

Oczywiście zgodzimy się bez żadnych zastrzeżeń z opinią p.Cywilnego, iż konflikt ukraińsko-polski służy jedynie naszym wspólnym wrogom - to znaczy sowieckiemu i rosyjskiemu imperializmowi i komunizmowi. W tym jednak punkcie daje o sobie znać brzydota historii, albowiem p.Cywilny pyta gdzie indziej, dlaczego współpraca między naszymi narodami może odbywać się tylko teraz, a nie może trwać powierzy

20, 40 czy też 60 lat temu. Z tego właśnie powodu wielu Ukraińców, szczególnie zaś tych, którzy tworzą większość powojennej emigracji, oraz byłych mieszkańców Galicji, pamiętających okres międzywojenny, mówią tak: "Owszem, współpraca to dobra rzecz, jeśli skierowana jest przeciw Moskalom, jednak nie można ufać tym Polakom. Pamiętacie, że w roku 1921 podzieliłi oni nas między siebie i Rosję sowiecką, i że mogliby to powtórzyć. Obecnie pragną oni współpracy, gdyż są słabi. Zobaczmy jednak, co zrobią gdy będą silni!".

Faktem jest to, iż przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego "SPOTKANIA" były chyba jedynym polskim ugrupowaniem opozycyjnym, które działało aktywnie na rzecz współpracy polsko-ukraińskiej. Dlaczego? Czyżby naród polski sądził, iż powiedzie mu się w pojedynkę, tam gdzie nie udało się innym /to znaczy Węgom i Czechosłowacji/?. "Jest nas 10 milionów!" - słyszeliśmy to wielokrotnie przed wprowadzeniem stanu wojennego, słyszeliśmy również: "nic nie mogą nam zrobić!". Zatem Ukraińcy i inni sąsiedzi Polaków mają prawo zadawać polskiej opozycji takie oto pytanie: "Dlaczego trzeba było aż stanu wojennego, żeby pojąć strategiczną konieczność współpracy polsko-ukraińskiej?". Trudno nam zatem przychodzi przekonywanie Ukraińców /czy to w Polsce, czy na emigracji/, że: "Tak, oni się zmienili", podczas gdy p.Cywilny pisze, iż w dzisiejszej Polsce możnaby znaleźć wiele osób, które chętnie pomaszerałyby na Lwów i Wilno.

Jak utrzymuje p.Cywilny, bez terytoriów wschodnich, na których ostatecznie Polacy stanowili mniejszość, Polska byłaby - zarówno terytorialnie, jak też pod innym względem - niemal niczym. Nie zgadzam się z tym. Ukraińcom trudno zrozumieć /albo też nie chcą oni zrozumieć/ polskich sentymentów do "Lwowa i Wilna", równocześnie jednak p.Cywilny nie dostrzega tego, iż ziemie, które nazywamy Ukrainą Zachodnią są obecnie, począwszy zresztą od XIX wieku, Piemontem nacjonalizmu ukraińskiego. Prawo- i lewobrzeżna Ukraina, która ucierpiała pod berłem carów oraz w latach 30-tych /głód i wielki terror/ nie doszła jeszcze do siebie po ludobójczej polityce, prowadzonej w stosunku do niej przez białych i czerwonych carów w Moskwie. Dzisiaj, w okresie "jawności" w ZSRR, w całej Ukrainie podniosła się fala ruchu nacjonalistyczno-demokratycznego - niemniej jednak, nic nie zdołało przewyższyć tego, co dzieje się w Ukrainie Zachodniej: chodzi mi o totalną opozycję przeciw okupacji sowieckiej.

Zachowując ów fakt w pamięci, wyobraźmy sobie oto, iż w latach 1918-1921 Ukraińcy zdołali zachować kontrolę nad Galicją, nie wchodząc w żadne konflikty z Polakami. Dobrze wyowoczone oddziały ukraińskie, wchodzące w skład armii Austro-Węgrów /słynni "Siczowi Strilcy", bądź też Ukraińska Halicka Armia - UHA/ mogłyby zostać użyte przeciw bolszewickim napastnikom ze wschodu. Nie ulega wątpliwości, iż zapobiegłyby one okupacji bolszewickiej, a być może, nawet udałoby się im położyć zęby pod niezależną Ukrainę. Niezależna Ukraina w latach 1918-1920 oznaczałaby niekonunistyczną Polskę dzisiaj.

Inne zagadnienie, wynikające z artykułu p.Cywilnego wiąże się w całej rozciągłości z polską myślą polityczną. Chodzi o omijanie problemu, dlaczego konflikty z lat 40-tych były tak gwałtowne. Cóż takiego działo się między rokiem 1921 a 1939, co zantagonizowało Ukraińców i Polaków? W tym miejscu wspomnieć należy, iż polskie rządy z tego okresu /a były to czasy, pamiętajmy, niepodległej Polski/ prowadziły fatalną politykę w stosunku do mniejszości narodowych, których liczebność dochodziła do 33% całej populacji. Traktat Ryski z 1921 r., pacyfikacje z 1930 r., oraz "Akcja Wisła", przeprowadzona w 1947 r. - wspomnienia tego wszystkiego zaciężyły na psychice Ukraińców.

Niepokoi mnie, iż p.Cywilny czyni kilka uwag o Ukraińskiej Powstańczej Armii, jakby było uznanym faktem, iż: "tak, zamordowała ona wielu niewinnych cywilów". Motyw ów wciąż się pojawia zarówno w polskiej jak i sowieckiej propagandzie komunistycznej - powinniśmy go unikać. Gdy dyskutujemy o tych sprawach, powinniśmy zwrócić na serio uwagę na to, iż Ukraińcy także znają fakty mówiące o polskich okrucieństwach wobec ukraińskiej ludności cywilnej. Oczywiście, jeśli nie ulega wątpliwości, że cywile byli mordowani przez obie strony, trzeba to potępiać. Sprawa jest tu, rzecz jasna, skomplikowana, albowiem działalność partyzanta opiera się na ludności cywilnej, zaś partyzant bez karabinu wygląda wszak niczym zwykły wieśniak.

W artykule niepokoi również to, iż jego autor przypisuje tak wielkie znaczenie emigracji, uważając, że właśnie na niej powinno spoczywać zadanie wywołania ukraińsko-polskiej dyskusji i współpracy. Oczywiście, mamy tu ku temu większe możliwości, jednak wydaje mi się dziwne, że p.Cywilny nie pomyślał w tym samym kontekście o mniejszości ukraińskiej w Polsce. Jak może rozpocząć się bez niej jakakolwiek poważna dyskusja polsko-ukraińska? Czy "NIEPODLEGŁOŚĆ" dotrnie może do jakichś Ukraińców z 300-500-tysięcznej masy, z którą może współpracować i współdziałać? Jeżeli nie, powinna próbować usilniej. Jak wszyscy wiemy, Ukraińcy w Polsce dopiero zaczynają wychodzić ze swoich gett, a wy powinniście jednocześnie zachęcać ich do tego i pokazywać, jakie korzyści mogą osiągnąć ze współpracy z polską opozycją.

Jan nadzieję, że opublikujecie tę polemikę w celu pogłębienia dyskusji ukraińsko-polskiej; oczekujemy również, iż w którymś z przyszłych numerów Waszego pisma ukaże się przegląd zawartości kolejnego polskojęzycznego numeru "SU CZASNI HIST".

Pozostaję w solidarności -
Tomasz KUJIO

DO WYDAWCÓW "SUCZASNIŚCI"

na ręce Tarasa KUZIO

Drogi Tarasie

Ponieważ artykuł Cyryla Cywilnego stanowił zaledwie inspirację dla Twojej polemiki z nami, a właściwie szerzej, z polskim widzeniem problematyki polsko-ukraińskiej do Twoich tez ustosunkuje się nie krytykowany autor, lecz niżej podpisany - na terenie naszej redakcji spec od tych zagadnień. Zwłaszcza, że do części podnoszonych przez Ciebie kwestii ustosunkowałem się odpowiadając na postawione przez Ciebie (w imieniu "SUCZASNIŚCI") pytania. Ponieważ odpowiedzi te drukujemy w niniejszym numerze nie chciałbym się powtarzać. Poniżej skoncentruje się więc na kwestii, naszym zdaniem kluczowej - współpracy polsko-ukraińskiej.

Najpierw jednak jedna uwaga i wyjaśnienie jednego nieporozumienia:

UWAGA: Naturalna różnica interesów między Polską a Ukrainą powoduje istnienie spraw trudnych lub niemożliwych do załatwienia ku obopólnemu zadowoleniu. Takimi właśnie są problemy terytorialne - w szczególności kwestia Lwowa. Jego obecna ukraińskość tkwi w polskiej duszy jak stale raniący cierń. To było przecież od "zawsze" (to znaczy od co najmniej kilkuset lat) centrum polskiej kultury, to był przecież na przełomie XIX i XX wieku także i polski Piemont, to było wreszcie w niepodległej Polsce polskie miasto. Jego utrata będzie jeszcze przez pokolenia odczuwana jako niczym niezasłużona i trudna do zaakceptowania krzywda. Jeśli dziś są w Polsce siły polityczne skłonne w imię przyszłości i pod pewnymi warunkami do rezygnacji z roszczeń do Lwowa to w roku 1918 było to zupełnie niemożliwe.

Ukraińsko-polski konflikt o Wschodnią Galicję najprawdopodobniej - zgadzamy się tu z Tobą - uniemożliwił podjęcie mających jakieś szanse powodzenia prób budowy stabilnego ładu "między Rosją a Niemcami". Ale warto jednak pamiętać, że to nie Polacy zaczęli strzelać pierwsi. Kiedy zaś już przemówiła broń to cóż mieli mianowicie zrobić? W imię niepodległej Ukrainy wycofać się pod przymusem i bez oporu z ziem, na których mieszkali od wieków? I jak daleko? Za San? A może za Wisłę? Listopadowa ukraińska próba zbrojnego rozstrzygnięcia sporu o Lwów uniemożliwiła jakiegokolwiek polsko-ukraińskiego porozumienia. A były przecież po polskiej stronie siły polityczne (choćby piłsudczycy) rozumiejące potrzebę porozumienia i dopuszczające możliwość podziału spornego terytorium.

Chciałbym być dobrze zrozumiany - nie twierdzę, że gdyby nie ukraińska akcja we Lwowie to w stosunkach ukraińsko-polskich zapanowałaby sielanka. Najprawdopodobniej porozumienia nie udałoby się osiągnąć - Lwów przecież był tylko jeden. Tym niemniej niezawinione przez Polaków walki zbrojne jakkolwiek myśl o kompromisie uczyniły bezprzedmiotową zaś antybolszewickie porozumienie Polaków i Galicyjskich Ukraińców nierealnym.

WYJASNIENIE: W Polsce istnieją niezależne siły społeczne i polityczne lepiej czy gorzej, artykułujące jednak polski interes narodowy i dysponujące znacznym zapleczem społecznym. Dlatego czasy kiedy jedynym autentycznie polskim głosem był głos polskiej emigracji definitywnie się skończyły. Siły te wypowiadają się zdecydowanie w kwestiach dotyczących społeczeństwa polskiego, nie stroniąc od problemów trudnych czy kontrowersyjnych, w szczególności nie pomijając problematyki ukraińskiej zarówno historycznej jak i współczesnej (los mniejszości).

Po prostu polskie stanowisko w dialogu (sporze) z Ukraińcami formułowane jest tu - w Polsce. Działalność polskiej emigracji, choć nieoceniona (warto tu przypomnieć choćby "KULTURE", Towarzystwa Polsko-Ukraińskie, czy indywidualnie: Juliusza Mieroszewskiego, Józefa Darskiego, Jerzego Iranka-Osmeckiego,...) ma obecnie znaczenie, przede wszystkim inspirujące ugrupowania krajowe. Natomiast Polska mniejszość na Ukrainie, jak narazie, politycznie nieistnieje.

Inaczej wygląda ta kwestia na Ukrainie. Mimo docierających sygnałów o nasilaniu się ukraińskich ruchów narodowych i społecznych w Sowietach Ukraina jeszcze milczy. Ruchy niezależne mają tam jeszcze status dysydencki.

Inaczej wygląda ta kwestia na Ukrainie. Mimo docierających sygnałów o nasilaniu się ukraińskich ruchów narodowych i społecznych w Sowietach, Ukraina jeszcze milczy. Ruchy niezależne mają tam co najwyżej status dysydencki. Czy przewidywane przez Ciebie usunięcie Szczerbickiego nastąpi i czy wtedy Ukraina zacznie naśladować "Pribałtykę" - dałby to Pan Bóg - ale to się dopiero okaże.

Także mniejszość ukraińska w Polsce, jak dotychczas nie zechciała, czy też nie potrafiła, włączyć się w działalność niezależną, poza nielicznymi, indywidualnymi przypadkami. Nie istnieje więc jako zorganizowana siła na polskiej mapie politycznej. Nie ma wobec tego z kim współpracować. Ukraińcy w Polsce muszą się więc zorganizować. I muszą uczynić to sami. Nie mogą tego uczynić Polacy. Ci ostatni nie powinni tylko przeszkadzać.

Siłą rzeczy, jedyną zorganizowaną politycznie siłą władną do wypowiedzania się w imieniu Ukraińców jest ukraińska emigracja. Stąd taką wagę przywiązujemy do stanowiska jakie zajmuje wobec kwestii wzajemnych roszczeń terytorialnych, praw mniejszości polskiej na Ukrainie, ochrony i rewindykacji polskiego dorobku historycznego i kulturalnego, czy wreszcie polsko-ukraińskiej współpracy. Tymczasem emigracyjne ugrupowania ukraińskie powstrzymują się raczej od wyraźnego wypowiedzenia się w tych i podobnych kwestiach. Trzeba zaś wyraźnie stwierdzić, że niektóre przynajmniej sygnały docierające do nas od ukraińskiej emigracji budzą nasz niepokój. Wspomnę tylko o dwóch - by tekst ten nie zamienił się w rejestr polskich pretensji. Drukowane w wydawnictwach ukraińskich mapki, na których "Wielka Ukraina" sięga pod Kraków oraz podjęte przez studiujących na zachodnich uniwersytetach ukraińskich studentów starania zakwestionowania polskiego udziału w zdobyciu Monte Casino i włączenia tej bitwy w tradycje ukraińskiego oręża.

Reasumując - ukraińskie stanowisko odnoszące się do kontrowersyjnych kwestii w naszych wzajemnych stosunkach, w przeciwieństwie do polskiego, może być wypracowane wyłącznie na emigracji. Co wcale nie znaczy, że taką sytuację uważamy za zadowalającą. Z radością powitalibyśmy powstałe czy to na Ukrainie, czy w Polsce niezależne ugrupowanie ukraińskie włączające się we wzajemny dialog.

A teraz przechodząc do meritum naszej dyskusji, czyli do ukraińsko-polskiej współpracy, wypada zauważyć, że podstawowa trudność ma charakter psychologiczny. Obie strony mianowicie nie ufają sobie. Ten brak zaufania ma podłoże historyczne ale ma też i współczesne. Jeśli chodzi o zaszyłości historyczne to faktów przecie nie zmienimy. Co się stało, to się nie odstanie. Chodzi jednak o to by przeszłych wydarzeń nie prezentować jednostronnie. Rzeczywiście Ukraińcy mogą mieć do Polaków słuszne pretensje o Traktat Ryski. Tylko, że trzeba pamiętać, że najpierw był rok 1918 z ukraińskim zamachem we Lwowie, a potem rok 1920 z faktycznym brakiem poparcia ze strony ukraińskiej dla koncepcji polsko-ukraińskiego, antysowieckiego współdziałania. Sojusznika (nielicznego) Polacy się wyrzekli, uznając pełnomocnictwa ukraińskiej delegacji sowieckiej, w chwili gdy Armia Czerwona stała pod Warszawą i wojna wydawała się przegrana.

Odpowiedź na pytanie "Dlaczego trzeba było aż stanu wojennego, żeby pojąć strategiczną konieczność współpracy polsko-ukraińskiej?" nie jest trudna. Do momentu wprowadzenia stanu wojennego Polacy w Kraju nie formułowali radykalnych antykomunistycznych koncepcji politycznych. Szerzej piszę o tym w mojej odpowiedzi na pytania "SUCZASNIŚCI". Potrzebę "wybicia się na niepodległość" jeśli deklarowano, to raczej werbalnie. Po prostu zlatwialiśmy sobie nieco bardziej komfortowy barak w sowieckim obozie, co choć może niezbyt porywające nie jest ostatecznie naganne. Stan wojenny nadzieje te rozwiął, jeszcze do niedawna wydawało się na zawsze. Pojawiło się wtedy zapotrzebowanie na koncepcje niepodległościowe w których, prędzej czy później konieczność współpracy dwóch najliczniejszych narodów zniewolonych - polskiego i ukraińskiego się pojawiała. I nie był to żaden koniunkturalizm. Naprawdę trudno sobie wyobrazić niepodległą Polskę bez niepodległej Ukrainy i vice versa. Niestety łatwo sobie można wyobrazić, że zaraz po odzyskaniu niepodległości nasze kraje wezmą się, tak jak przed siedemdziesięcioma prawie laty, za rękę, ku uciesze zachowujących początkowo neutralność Sowietów. Wszelkie resentymenty, jakby nie uzasadnione i przez kogo by nie głoszone sprzyjają takiemu przebiegowi wypadków.

I właśnie w celu przełamania nieufności między Polakami a Ukraińcami głosimy tak dobitnie potrzebę zaakceptowania obecnych linii granicznych. Jest to z polskiej strony konieczna cena jaką za współpracę trzeba zapłacić. Współpraca Polski i Ukrainy leży jednak w interesie nie tylko Polski. Leży także w interesie Ukrainy. O ile niepodległa Polska bez niepodległej Ukrainy leży w granicach możliwości (np. znaczne osłabienie Imperium) o tyle niepodległa Ukraina i zwasalizowana przez Sowiety Polska to czysta fantazja. Dlatego za współpracę musi płacić nie tylko Polska, także Ukraina. Także Ukraińcy powinni wyjść naprzeciw Polakom. Takim otwarciem w kwestiach terytorialnych byłoby naprzykład poważne rozważenie koncepcji Środkowoeuropejskiej Wspólnoty, w której problem ten straciłby swą ostrość.

My, Polacy często, kiedy mówimy o wspólnocie politycznej "naszej" Europy, słyszymy, że w Środkowej i Wschodniej Europie federować się chcą tylko Polacy i Rosjanie. Niżej podpisanemu obawy przed "federowaniem" się z Polakami wydają się przesadzone. Choćby dlatego, że we wspólnocie, w której weźmie udział Polska i Ukraina nie będzie państwa (narodu) dominującego. Polacy w niej nic nie złatwią bez zgody Ukrainy, i naodwrot. Wspólnota taka, jeśliby była budowana na wzór zachodnioeuropejskiej, dawałaby natomiast szanse na wygaszenie sporów wokół kwestii terytorialnych i praw mniejszości narodowych. A przecież w "naszej" Europie spory takie działają wszystkich - nie tylko Polaków i Ukraińców. Również inne kontrowersje, np. kwestia dorobku kulturalnego i pamiątek historycznych straciłaby na ostrości.

Tymczasem odnoszę czasami wrażenie, (może mylne), iż Ukraińcy uważają koncesje terytorialne ze strony Polaków za coś oczywistego i niewymagającego odpowiedzi w podobnym duchu. Coś jakby stara zasada: **b r a ć i n i e k w i t o w a ć**. Ta zasada jest oczywiście dobra jeśli stosuje się ją wobec przeciwnika lub wroga. Nie ma jednak zastosowania w stosunku do partnera.

Osobiście uważam jednak, że mimo naturalnych różnic w widzeniu kwestii kontrowersyjnych Polacy i Ukraińcy porozumieją się w imię wspólnego interesu politycznego - niepodległości naszych ojczyzn, i że także nasza dyskusja przyczyni się do osiągnięcia tego celu.

z braterskim pozdrowieniem

Artur WIECZYSTY

najbardziej filoukraiński członek redakcji

K O M U N I K A T Y :

1. Apelujemy o pomoc finansową i rzeczową.
2. Sierotce Marysi dziękujemy za krasnale,
3. Ewie dziękujemy za papier.

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPĘ PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A. Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk wszystkich artykułów dozwolony z podaniem źródła. Całość po porozumieniu z GP*N*.

Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz Przedstawiciel Tadeusz Kadenacy - 32, Winterfold Close, London SW 19 6LE.

Współpracują z nami na terenie:

- Wielkiej Brytanii - "FRIENDS OF NIEPODLEGŁOŚĆ" (adres Tadeusza Kadenacego),
- Skandynawii - Janusz Cupryjak, Villagatan 10, 33012 Forsheda, Sveden.

